



(czyli rzecz
o bałuckim
*dzikim typ*o)

zebrał i komentarzem
opatrzył Kuba Szczapiński



top top

top top

top top

NEW

NEW

5

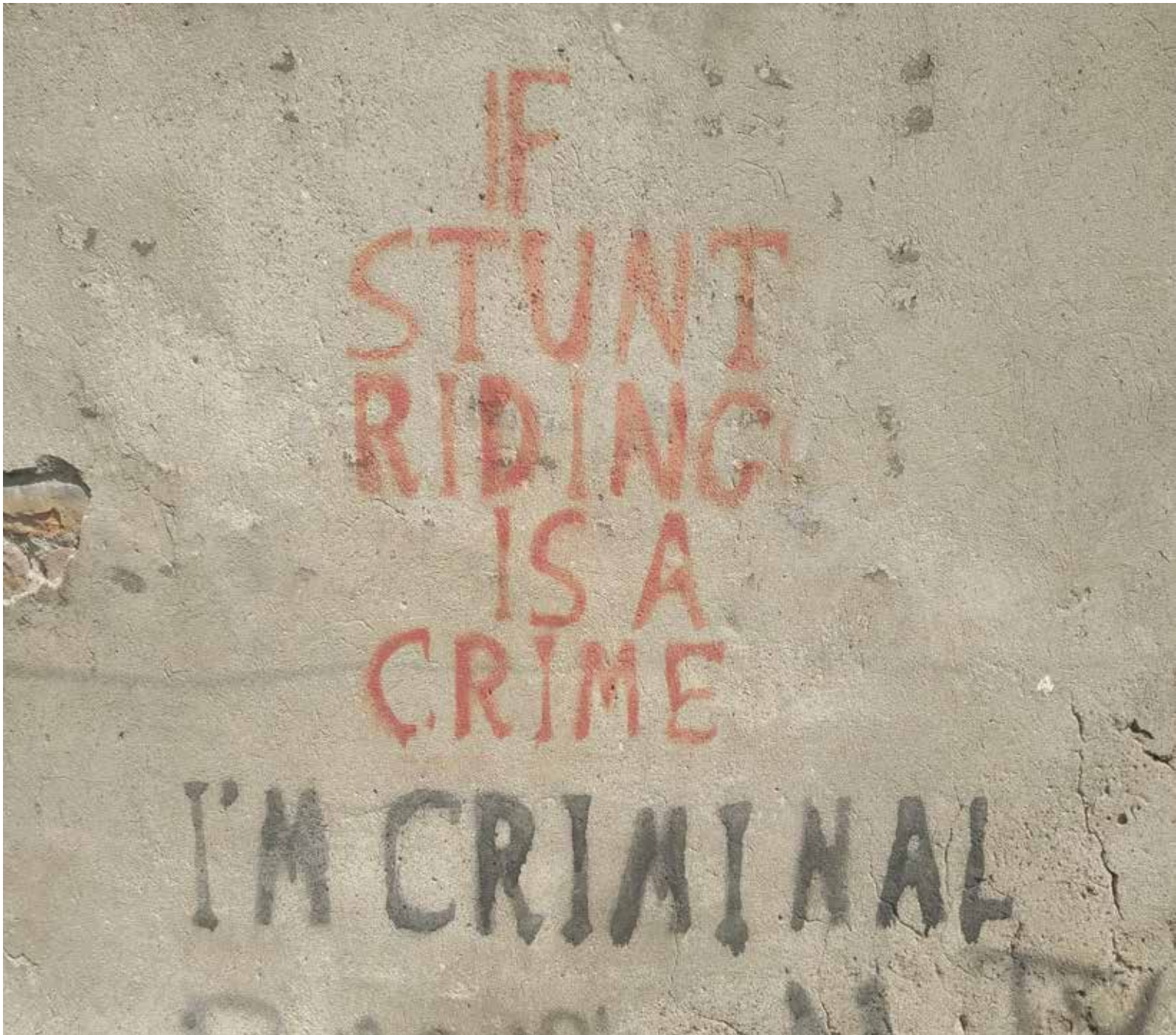
5

NEW

Mury
mają
goty

(czyli rzecz
o bałuckim
dzikim typo)

zebrał i komentarzem
opatrzył Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński

Wspomnień czar | **13**

O co w ogóle chodzi z tym
„dzikim typo” | **19**

Bałuty welcome to! | **29**

O kodeksie moralnym
i względności pojęć | **45**

O względności pojęć – cd. | **51**

Z murów pod strzechy,
czy jakoś tak... | **55**

Antybohater... | **63**

Dwa słowa na koniec... | **55**

Zwykły akt wandalizmu | **77**

Invisible inVisible | **117**

Pieski świat | **137**

*Pracę tę dedykuję mojej Żonie oraz Synowi, który gdy dorośnie, zapewne podążył
będzie tymi samymi co ja, ale jednak kompletnie już innymi ulicami miast...
K.*

boóg humor ojczyzna

Na wstępie pragnę serdecznie podziękować osobom, bez pomocy których ta publikacja nie miałaby szans ujrzeć światła dziennego. Ogromne wyrazy wdzięczności z mej strony należą się Marcinowi Jakubowskiemu, Andrzejowi Frajtagowi, Ance Leśniak, Dawidowi Żurawskiemu, Patrycji Markiewicz, Michałowi Misiakowi, Piotrkowi Fraktiemu, Łukaszowi Cieślakowi, Kacprowi Zaorskiemu, Justynie Szyburskiej oraz Joannie Dzikowicz. Dziękuję Wam! Szczególne podziękowania kieruję w stronę pomysłodawczyni projektu, w ramach którego powstała poniższa praca. Jest nią Maria Nowakowska – nieustrudzona łowczyni wszelakich przejawów miejskiego piękna (również tego nieoczywistego).

Jednocześnie chciałbym abyście potraktowali publikację, którą trzymacie w dłoniach, jako przedsmak znacznie obszerniejszej pozycji, która – żywię nadzieję – za jakiś czas ukaże się drukiem. Bo często okazuje się, że papier bywa solidniejszy, niż struktura murów. A już na pewno trwalszy jest od napisów na nich. Nawet od tych najwymowniejszych...

Kuba Szczapiński

Wspomnień *czar*



Fot. Łukasz z Bałut

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)

Jeżeli dane Wam było dorastać w Łodzi lat dziewięćdziesiątych, zapewne tak jak ja pamiętacie specyficzny koloryt tego czasu i miejsca. Składał się na niego szeroki wachlarz zjawisk zrodzonych na styku bylejakości i degrengolady schyłkowego peerelu oraz skarłałego, choć agresywnego wczesnego kapitalizmu. Kapitalizmu zakompleksionego wobec zachodniej Europy i nieudolnie starającego się nadrobić ponad czterdzieści lat komunistycznej stagnacji.

Przypominacie sobie zaniedbywany przez dekady, lepiaący się od wydzielin i brudu dworzec Łódź Fabryczna, z prowadzącą doń aleją plastikowych budek z hamburgerami? A koczującą tam hordę narkomanów i innych nieszczęśników dybiących na łatwy zarobek? Albo dziurawe ulice i łyse „trawniki” pełne śmieci i psich odchodów...

Czy odwiedzaliście tętniące życiem rynki: Bałucki, Górniak i Zielony, z charakterystycznymi labiryntami alejek zbudowanych z rozkładanych blaszanych boksów handlowych zwanych szczękami? Pamiętacie przyczepy Niewiadów, stoliki turystyczne albo łóżka polowe uginające się od nie zawsze legalnego towaru? Spirytus, lewe papierosy, piratowane na potęgę kasety magnetofonowe, czerwone złoto od sąsiadów ze Wschodu. Tandeta i pstrokacizna. Wszechobecne podróbki. Przymierzanie nowych „adidasów” albo „levisów” na wysepce z przemokniętej tektury falistej, unurzanej w pośnigowej brei. Przymierzanie bezwstydne, pośród rwącej rzeki innych amatorów bazarowych okazji. Wysyp lumpexów i agresywnego, krzykliwego typopolo, które bodaj nikogo prócz artystów plastyków nie kłuło wówczas w oczy.

Na ulicach rdza z równym smakiem chrupała resztki peerelowskich krążowników szos, co karoserie aut sprowadzanych do nas zza zachodniej granicy. Te drugie pozostawiły swą młodość na niemieckich autobahnach. W Polsce zaserwowano im smutną, pracowitą emeryturę...

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Kuba Szczapiński

Na rogatkach od strony Zgierza i Pabianic wyrosło gipsowe bizancjum „willi cygańskich” – pełnych przepychu pałaców ociekających nadmiarem wieżyczek, tralek, balustradek, mozaik i sztukaterii.

Nocą po ulicach niosły się wulgarne śpiewy rezerwistów otulonych w kolorowe chusty. Z kolei za dnia, z kradzionych na potęgę samochodowych kaseciaków, po-brzmiewała druga fala disco polo.

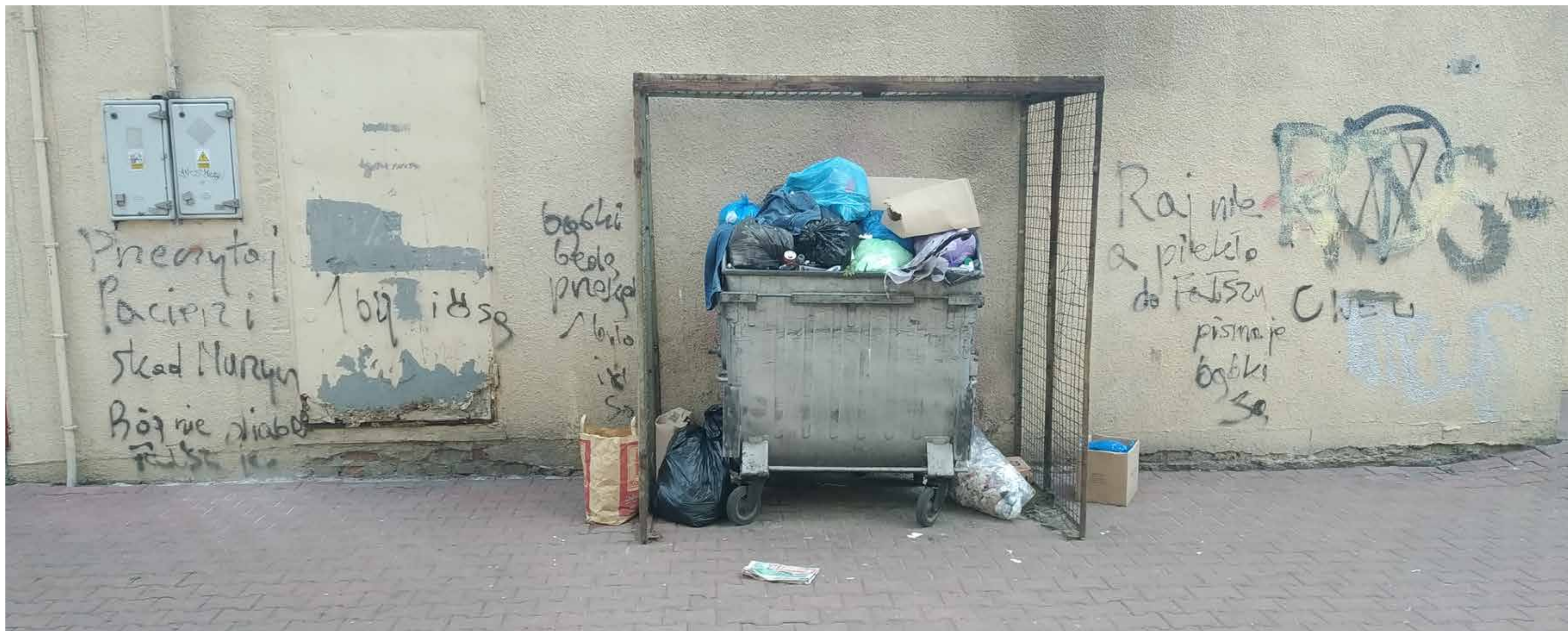
Przy obecnej OFF Piotrkowskiej, która była wówczas przedziwnym konsorcjum handlowo-usługowym zwanym przez łodzian „Chinatown”, zdzierał gardło nieza-pomniany uliczny zapiewajło – Pan Witek, Gość z Atlantydy. Kolorowy ptak, Nikifor muzyczny, oryginał znany ze swego kowbojskiego stroju i zdezelowanej czarnej gitary o trzech strunach (oraz z niewiele większej ilości zębów w jamie ustnej).

Cóż, czasy dzieciństwa i wczesnej młodości mają to do siebie, że wspomnienia o nich bywają przez nas mitologizowane. Zwykle też sprowadzają się do garści ob-razów i impresji, przez pryzmat których okres ten będziemy później postrzegać. Tak jest też w moim przypadku.

Z tym barwnym czasem kojarzy mi się jednak jeszcze jedno zjawisko. Mury śród-miejskich kamienic hojnie umajone napisami, które były dla mnie wtedy równie tajemnicze, co intrygujące. „Osądzić psychologów behawioralnych”, „chce mi się wyć!”, pozornie przebrzmiałe „precz z komuną!” i – jako przeciwwaga – „lepiej z g... zrobić skręta niż z Wałęsy prezydenta”. Jako wisienkę na torcie przytoczyć należy pierwsze schizofreniczne bazgroły niesławnego Wiesława W., czyli „Haikupsychola” vel „7 było”.

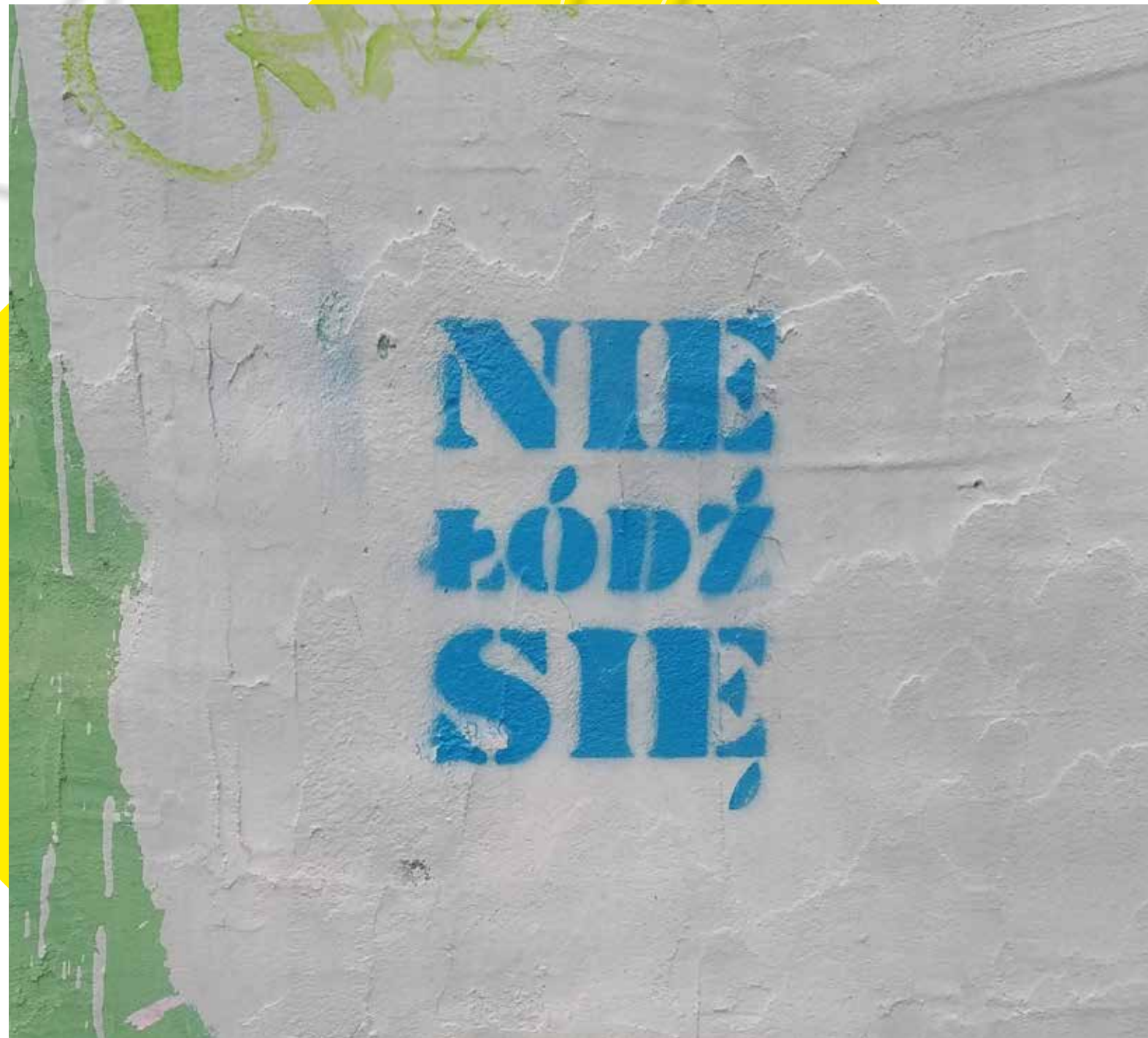
Napisów tych wówczas nie rozumiałem, co jednak wcale nie przeszkadzało mi ich bezmyślnie powtarzać, czym wprowadzałem swych rodziców w konsternację, a nierzadko po prostu w zażenowanie. Być może dlatego tak mocno wryły mi się one w pamięć? Czy są warte wspomnień? Może tak, może nie. Nie da się jednak wykluczyć, że bez tych pierwszych napisów i reakcji na nie nie byłoby tego albumu.

Od lat podczas swych spacerów dokumentuję co ciekawsze przykłady „dzikiego typo”. Nadszedł już czas na otwarcie archiwum i podzielenie się z Wami częścią jego zasobów.



Fot. Kuba Szczapiński

O co w ogóle chodzi z tym „*dzikim typo*”?



Fot. Kuba Szczapiński

Termin „dzikie typo” powstał jako ironiczne nawiązanie do wspomnianego już „typopolo”, określenia spopularyzowanego przez Jakuba Stępnia oraz do „literoduchów” Kamila Snochowskiego. Zrodził się niejako z konieczności. Nie znalazłem bowiem żadnego adekwatnego określenia dla zjawiska, któremu poświęcam tę publikację. „Graffiti” jest trochę na wyrost, z kolei „napisy na murach” – nieco zbyt ogólnikowo, a poza tym mało dźwięczne.

Na początku używałem wspomnianego określenia jedynie podczas rozmów z osobami zaangażowanymi w powstanie tej publikacji i było to „nasze” słowo, a właściwie dwa słowa-klucze. Z czasem „dzikie typo” zacząłem traktować również jako tytuł roboczy tego albumu. W efekcie tak polubiłem to określenie, że postanowiłem się z nim nie rozstawać.

W tym miejscu zrobmy jednak niewielki krok w tył. Osobom niezorientowanym chciałbym bowiem wyjaśnić pokrótce, czym jest „typopolo” oraz „literoduchy”, do których wcześniej nawiązałem. „Typopolo” to zły sen artystów plastyków. Nieprofesjonalne, tandetne, wyzute z poczucia dobrego smaku i elementarnych zasad projektowania graficznego oblicze typografii. Bijące po oczach z szyldów, banerów reklamowych i napisów informacyjnych, nierozzerwalnie związane z przywoływaną przeze mnie na wstępie dekadą lat dziewięćdziesiątych i z bezguściem raczkującej polskiej gospodarki wolnorynkowej. Znak czasów i przykład wtórnego estetycznego analfabetyzmu, który stał się wówczas plagą (i to niestety nie tylko w kontekście typografii).

„Literoduchy” z kolei to dźwięczne i nieco romantyczne określenie wyblakłych, ledwo już dostrzegalnych resztek ręcznie malowanych szyldów, głównie z okresu międzywojnia, ale i wcześniejszych, które w niektórych polskich miastach i miasteczkach



Fot. Kuba Szczapiński



można jeszcze znaleźć na murach starych kamienic. Tutaj często mamy do czynienia ze zjawiskiem umiejscowionym po przeciwnej stronie estetycznej barykady: kaligrafia, świadomość koloru, znajomość kompozycji, wysmakowane projekty i kunsztowne wykonanie. To również pamiątka po epoce, która bezpowrotnie minęła.

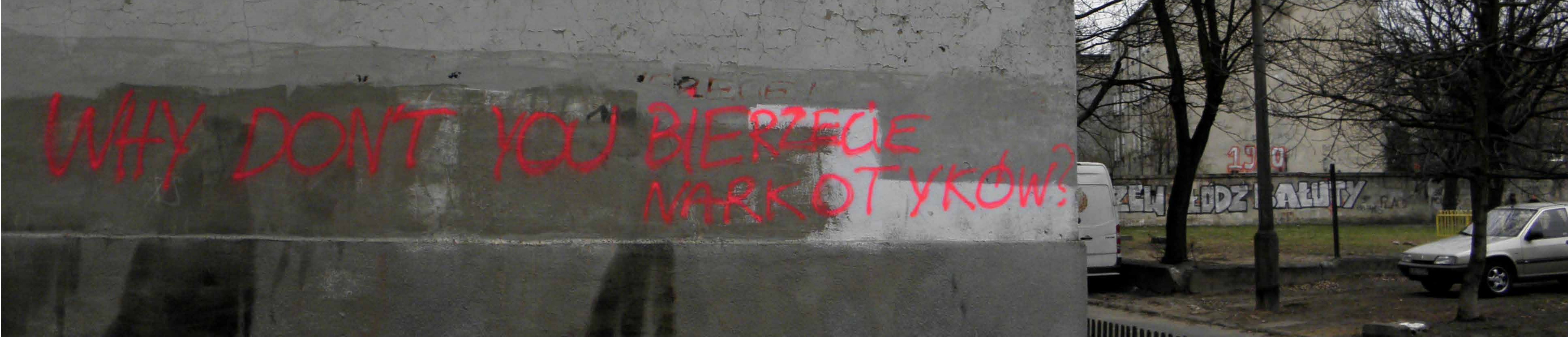
A jak wobec tego tłumaczyć termin „dzikie typo”? Nie będzie odkryciem Ameryki powiedzenie, że jest to skrót od określenia „dzika typografia”. A dlaczego „dzika”? Bo nieokrzesana, anarchizująca, niesforna, nie licząca się z normami i konwenansami, zwykle pojawiająca się w miejscach zupełnie niespodziewanych i najczęściej nie pozostawiająca odbiorcy obojętnym wobec treści, jakie ze sobą niesie. A treści te nie uznają cenzury. Bywają błyskotliwe, prowokacyjne, poetyckie, mądre, głupie, absurdalne, wściekłe... Zazwyczaj są anonimowe i niemalże bez wyjątku umieszczane w przestrzeni publicznej nielegalnie. Nanoszone na ściany budynków, parkany, mury i chodniki przy pomocy puszek spray’u, farby i pędzla, markerów, ale często również wykrobywane lub wyklejane. Jedne wychyną zza rogu niespodziewanie i niczym stary kumpel poprawią humor trafnością dowcipu. Inne spróbują dać w łeb obuchem nienawistnego hasła. W czasach dziejowych zawieruch zwykło się mawiać złęknionym półszepcem, że ściany mają uszy. Kiedy jednak w społeczeństwie wzrasta świadomość i potrzeba dania wyrazu własnym odczuciom – mury zaczynają mieć głos...

Niektóre odsłony „dzikiego typo” to dzieła artystów działających w ramach przemyślanych akcji. Innym razem to vox populi w czystej formie – są to zazwyczaj napisy powstałe pod wpływem aktualnych wydarzeń i niosące treści, dla których mur uliczny stał się miejscem idealnym. Jest to bowiem ogólnodostępny nośnik myśli o dużej sile rażenia. Pozostałe formy istnienia „dzikiego typo” to zazwyczaj kpina, czasami chamska zaczepka, nieraz sardoniczny pstryczek w nos, a często bandycki kopniak w zęby. Przykłady wpisujące się w tę kategorię bywają tworzone spontanicznie, pod wpływem impulsu, chwili, nierzadko również dzięki pewnej dozie „elementu baśniowego” wprowadzonego do krwiobiegu twórców.

Oto jest „dzikie typo”. Termin pojemny, bo i zbiór desygnatów szeroki...



Fot. Łukasz z Bałut



Fot. Łukasz z Balut



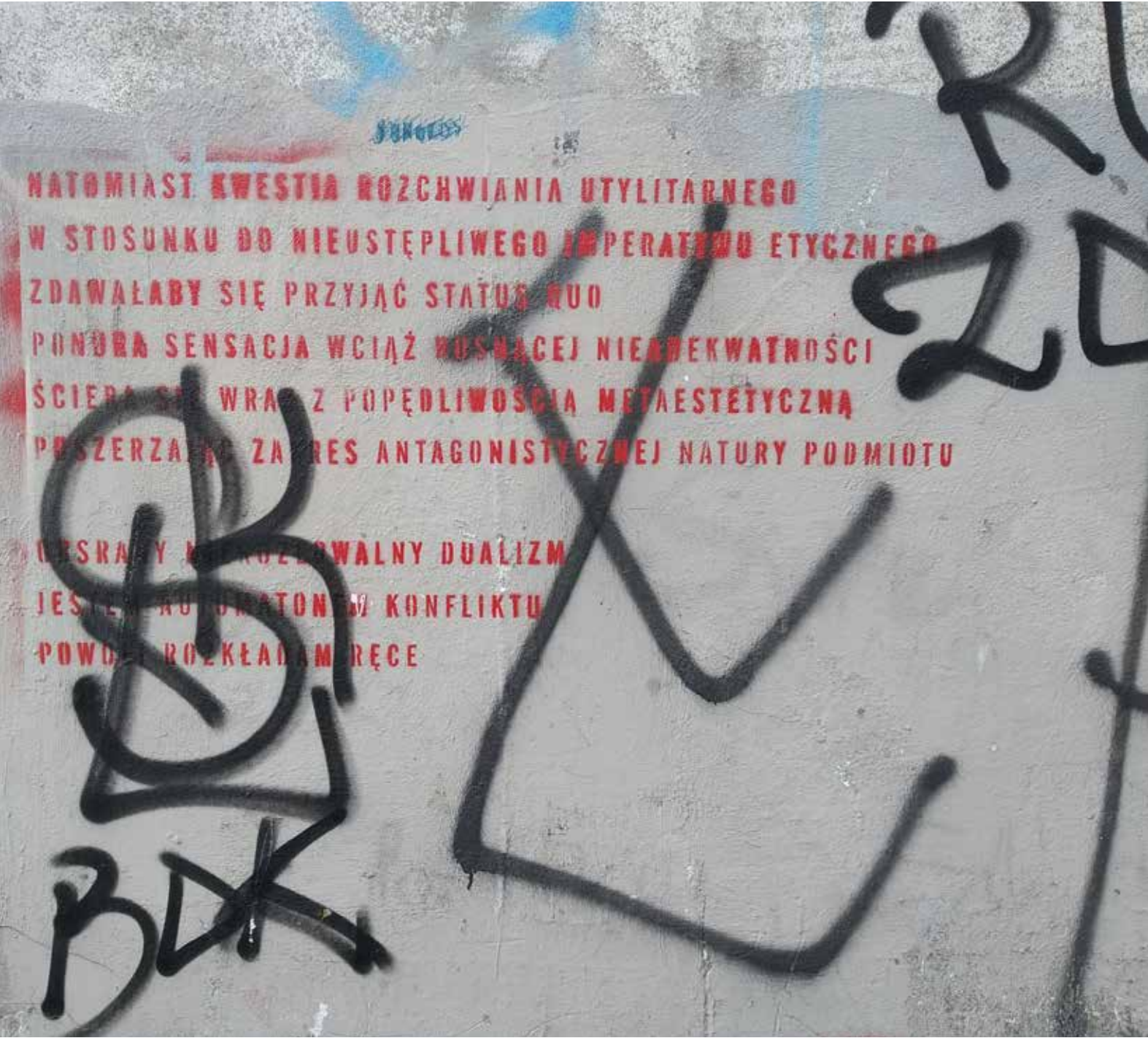
Bałuty *welcome to!*

Odważę się postawić tezę, że Łódź, moje rodzinne miasto, obdarzone kontrowersyjną, tuwimowską „urodą złą”, stało się polską stolicą „dzikiego typo”. Sporo podróżuję po naszym kraju i w żadnym innym miejscu nie spotkałem się z równie dużym natężeniem przejawów tej formy ekspresji. I jeżeli natężenie to przyjmujemy za kryterium wartościujące, Bałuty niewątpliwie powinniśmy uznać za centrum owej stolicy.

Bałuty to miejsce niezwykle. Ta najgęściej zaludniona część miasta, zajmująca jego północne rubieże, od pokoleń jest niestety demonizowana i owiana złą sławą. Regularnie powraca w łódzkich pitawalach jako tło krwawych zdarzeń, zagłębienie nędzy i patologii. Pomimo upływu lat wciąż kojarzona jest z przedwojennymi ścieżkami Menachena Bornsztajna, czyli legendarnego Ślepego Maksa: twórcy lokalnej dintojry i niekwestionowanego króla łódzkiego podziemia.

Równolegle Bałuty naznaczone są tragiczną okupacyjną historią, kiedy to w 1940 roku Niemcy założyli na ich terenie Litzmannstadt Ghetto. Miejsce to stało się piekłem na ziemi dla dwustu tysięcy osób. Pamiątki po tej tragicznej karcie historii po dziś dzień napotkać można na każdym kroku. I nie mam tu na myśli memento w postaci tablic czy murali. Myślę raczej o budynkach i elementach infrastruktury, jakie trwają od tamtego czasu w niemalże niezmienionym stanie. Pamiętają one gettowe, koszmarnie historie, bo były niemymi ich uczestnikami. Za przykład może tu posłużyć drewniana roleta sklepu w pobliżu skrzyżowania ulic Franciszkańskiej i Wojska Polskiego, za którą podczas Wielkiej Szpery skrył się mały Lucjan Dobroszycki – i tylko dzięki temu przeżył. Ponad 15 tysięcy osób powyżej 65 roku życia oraz dzieci poniżej 10 roku życia nie miało tyle szczęścia i w czasie tego czarnego wrześniowego tygodnia zostało wywiezionych do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Dziś ta

Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński

sama roleta chroni zasoby sklepu alkoholowego... Kolejnym przykładem może być żelazna krata (zdemontowana przez pracowników ZWiK dopiero przed kilku laty), umieszczona przez Niemców w kanale rzeki Bałutki, po to by odciąć drogę ucieczki osadzonym w getcie ludziom. Przywołać też należy budynek parafialny przy kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, zwany wówczas „czerwonym domkiem”, będący miejscem kaźni i krwawych tortur, którym naziści z krypto poddawali tam Żydów. W tym wyliczeniu nie może zabraknąć dołów wykopanych w 1945 roku pod murem cmentarza żydowskiego, które miały stać się zbiorowymi mogiłami dla ostatnich mieszkańców getta. A tych ocalił fakt, że ich niedoszli nazistowscy oprawcy musieli salwować się ucieczką przed zbliżającymi się do Łodzi Rosjanami. Doły te, choć od dawna już porośnięte roślinnością, o krawędziach wyoblonych przez wiatry i deszcze, nadal zioną złowrogim wspomnieniem o czasie, w którym powstały i o planowanym swym przeznaczeniu. Wszystko to są żywe ślady, od osiemdziesięciu lat trwające niezmiennie na swych miejscach. Przykłady mógłbym mnożyć.

Niewątpliwie Bałuty to miejsce naznaczone widmem „postpamięci”. Termin ten, stworzony przez pisarkę oraz historyczkę literatury i sztuki Marianne Hirsh, dotyczy tak zwanej pamięci odziedziczonej. Co mamy przez to rozumieć? Ujmując rzecz najbardziej obrazowo można by powiedzieć, że jest to fałszywa masowa pamięć, pamięć drugiego pokolenia, dotycząca pewnych zbiorowych traum, odziedziczona przez generację ludzi, którzy sami tych traumatycznych wydarzeń nie doświadczyli, ponieważ wówczas nie było ich jeszcze na świecie. Natomiast mając kontakt z pokoleniem bezpośrednich świadków i uczestników owych wydarzeń, młodsza generacja utożsamia się z ich narracją, traktując ją jak swoją własną. I narracja ta wrasta w jej świadomość z taką siłą, że przekazywana jest kolejnym pokoleniom. Choć pierwotnie Marianne Hirsh używała terminu postpamięci w odniesieniu do Holocaustu (a dokładniej w odniesieniu do dzieci ofiar Holocaustu) obecnie jest on używany w szerszym znaczeniu, określając transfer i wspólnotowość pamięci społeczeństw dotkniętych każdą zbiorową traumą. Wspominam o tym wszystkim, ponieważ snując swoją opowieść o „dzikim typo” i prezentując tu najciekawsze jego oblicza, chciałbym zwrócić Waszą uwagę na Bałuty jako równie istotnego bohatera tego albumu.



Fot. Łukasz z Bałut



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Łukasz z Bałut

Czytając dzieła łódzkich pisarzy naściennych, przyjrzyjcie się proszę tłum, na które nanieśli oni swe hasła. Osypujące się mury, okna zabite deskami albo płytami osb, brudne zaułki, pustostany, miejsca, w których czas zatrzymał się kilkadziesiąt lat temu. Piękno rozkładu. Turpistyczny haj.

Oto bałucki dualizm. Odpychający, ale i urzekający koloryt miejsca, które można pokochać i bez reszty się w nim rozpuścić lub odrzucić je i nie chcieć doń wracać bez wyraźnej konieczności. Ja pokochałem. Podobnie jak wielu polskich artystów, głównie filmowców i fotografów, którzy w bałuckich pejzażach odnaleźli przestrzeń wypełnioną niepoliczalną ilością niezwykle fotogenicznych, wdzięcznych i godnych uwiecznienia obiektów. Przestrzeń o szorstkiej, chropowatej i niełatwej urodzie. Tu nie portyki i witraże, nie frontony i ażury, lecz surowy pragmatyzm czynszówek, rzędów drewnianych komórek, podwórkowych wygódek oraz broniących dostępu do nich płotów skleconych z tego, co akurat było pod ręką. To dojmujący zapach butwy i wielopokoleniowej szczyzny bijący z bram i piwnicznych okienek.

Niejako potwierdzeniem moich słów jest chociażby projekt BaŁUTy tożsamości, czyli wystawa prac łódzkich artystów, którzy poprzez swą twórczość dają wyraz fascynacji tą częścią miasta i świadectwo najpiękniej ujętego lokalnego patriotyzmu. Bo co symptomatyczne, o ile dla osób spoza Bałut te często jawią się jako synonim patologii, zagrożenia i rozboju, tak autochtoni zwykle odbierają ten mit. Obalając stereotyp miejsca nieprzyjaznego powtarzają, że nie wyobrażają sobie życia nigdzie indziej. Wiadomo: „jak się zakochać to tylko na Bałutach”... (Tę miłość do „małej ojczyzny” wspaniale zresztą ukazuje film „No Ba! Grozi zawaleniem lub oświeceniem”, którego premiera odbyła się podczas tegorocznego Fotofestiwalu. Wspominam o nim, ponieważ istotną rolę odgrywa tam wątek dotyczący „dzikiego typo” oraz jednego z najciekawszych jego twórców – Kacpra Zaorskiego.)

Łódzcy twórcy, aktywiści czy socjologowie są zgodni, że na Bałutach istnieje jakiś elektryzujący nerw, niepowtarzalna, przyciągająca atmosfera, które sprawiają, że ta północna część miasta stanowi częsty obszar penetracji twórczych i motyw przewodni wielu wydarzeń oraz akcji społeczno-artystycznych.

– pisze w katalogu wystawy BaŁUTy tożsamości jej kuratorka, Małgorzata Dziegielewska. Trwająca aktualnie druga odsłona wystawy BaŁUTy tożsamości –

kontynuacja (pierwsza miała miejsce latem 2019 r.) odbywa się w Galerii Bałuckiej przy Starym Rynku 2 i potrwa do stycznia 2022 roku.

Pisząc o artystach zakochanych w Bałutach, nie mógłbym nie wspomnieć o moim przyjacielu Łukaszu z Bałut, artyście multidyscyplinarnym (w tym również twórcy wspomnianego przeze mnie filmu dokumentalnego). W jego zbiorach znajduje się w tej chwili około stu tysięcy fotografii, na których Łukasz od niemal dwudziestu lat z żelazną konsekwencją i regularnością uwiecznia Bałuty. Niewielki fragment tego foto dorobku można zobaczyć na wspomnianej przeze mnie wystawie, do czego bardzo zachęcam. Kilka spośród zdjęć Jego autorstwa znajdziecie również w tej publikacji. Trzeba tu dodać, że fotograficzne dokonania Łukasza, poza niepodważalną wartością artystyczną, są również bezcenne z kronikarskiego punktu widzenia. Albowiem Bałuty jakie znamy przemijają. Kończą się i umierają w ciszy. I chyba tylko bieda, nieprzystosowanie i społeczne wykluczenie, które znalazły swój przyczółek w tej części miasta, wciąż wydają się być nieśmiertelne.

W bałucką przestrzeń nieuchronnie wkracza nowe. I rozpycha się łokciami. Zapelnia parcele od niepamiętnych czasów porośnięte „chęciami” i służące za dzikie wysypiska śmieci. Wymazując z mapy miasta rozsypujące się kamieniczki i spróchniałe, zapadające się w sobie drewniaki, wzrasta ku niebu przeszkłonymi apartamentowcami. I nie ma w tym przecież nic dziwnego, naturalną kolejną rzecz starą odchodzi, ustępując miejsca nowemu. Niby nic bardziej oczywistego, ale jednak jakoś żal...

Wiem, że pisząc o Bałutach w taki sposób, mogę zostać posądzony o nadmierną tkliwość i egzaltację oraz – co gorsza, o próbę zmanipulowania wyobrażeniem Czytelnika na ich temat. Oczywiście chciałbym tego uniknąć, toteż śpieszę z wyjaśnieniem. Z prezentowanych tutaj przeze mnie fotografii faktycznie wзира obraz Bałut biednych, niechlujnych, zapuszczonych. Z jednej strony wynika to oczywiście z faktu, że urzeka mnie ich turpistyczne oblicze i chcę je Wam ukazać, ponieważ za kilkanaście lat niewiele już z niego pozostanie. A przecież piękno to nie tylko mignonowskie „Kwiaty w szklanym wazonie”. Drugą przyczyną, za sprawą której ze zdjęć płynie obraz Bałut zaniedbanych i wynędzniałych, jest niepisany kodeks moralny wyznaczany przez wielu twórców sztuki ulicznej... Brzmi bezsensownie? Tylko pozornie...



Fot. Łukasz z Balut

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Łukasz z Balut

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Łukasz z Bałut

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Łukasz z Bałut

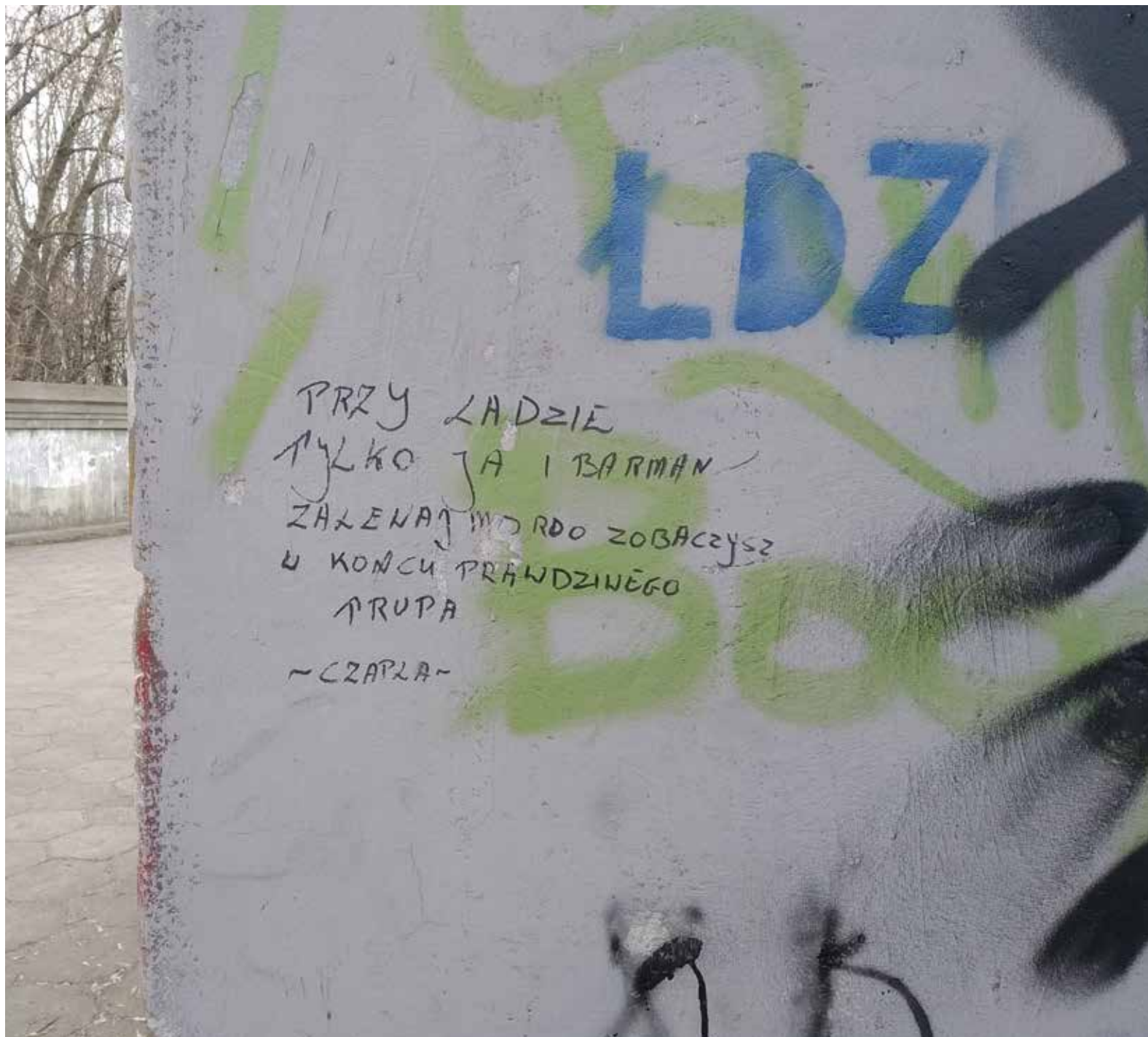
Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)

O kodeksie moralnym *i względności pojęć...*



Fot. Kuba Szczapiński

Street art, w którego charakter niejako z definicji wpisana jest ingerencja twórcy w przestrzeń publiczną, naturalną kolejną rzeczą kojarzoną jest z aktami wandalizmu i nieposzanowaniem cudzej własności. Oczywiście nie wzięło się to znikąd i skojarzenia takie są jak najbardziej zasadne. Istnieją jednak twórcy, którzy wybrawszy tę formę wyrazu pragną się odciąć (czy skutecznie?) od bycia posądzonymi o czynienie szkody. Nie chcąc rezygnować z pozostawiania po sobie śladu w przestrzeni publicznej, ani z kontaktu z widzem za pomocą wolnego i egalitarnego odłamu współczesnej sztuki, jako tła do swych działań wybierają przestrzenie zniszczone, szpetne, wyłączone z użytku. Ich prace pojawiają się w miejscach, którym – delikatnie mówiąc – nie ujmują urody: na resztkach kamienicznych murów, pustostanach, płotach i parkanach pokrytych już wcześniej niepoliczalną ilością innych napisów bądź malunków. Zaprezentowane tutaj prace w większości wpisują się w to założenie. Chciałoby się zatem rzec, że szkody nie wyrządzają. Oczywiście zasadnym jest zadać pytanie kto ma prawo decydować o tym, co jest szkodą, a co nią nie jest. Wedle jakich kryteriów należałoby to oceniać? Przeważą walory estetyczne pracy czy litera prawa? Czy jeśli uznamy, że owoc takiej ingerencji w zastaną przestrzeń nosi znamiona dzieła sztuki, wówczas przyjąć to należy za okoliczność łagodzącą? I czy rzeczywiście twórcę usprawiedliwia fakt, że ta czy inna jego praca umiejscowiona została w przestrzeni zniszczonej bądź zaniedbanej, skoro był to akt samowoli? Wspomniałem o „noszeniu znamion dzieła sztuki”. Ale jak dziś sztukę definiować, skoro jej dziełem może obecnie zostać okrzyknięte praktycznie wszystko? I znowu: kto decyduje o tym, co może, a co nie może być za sztukę uznane? Cóż, na te pytania każdy z czytelników musi odpowiedzieć sobie sam. Obawiam się bowiem, że na żadne z nich jednoznaczna i uniwersalna odpowiedź nie istnieje... Pytania te zadałem również moim rozmówcom – artystom, których prace zapewne po wielokroć mijaliście poruszając się po Łodzi. Zachęcam Was do zapoznania się z tym, co ci ludzie mają do powiedzenia. Ich słowa rzucają bowiem nowe światło na powyższe zagadnienia.



Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Kuba Szczapiński

O względności pojęć – *cd.*



Fot. Kuba Szczapiński



W ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie spotykałem się z głosami, że pracując nad tym albumem niepotrzebnie dopisuję do działań wandalów jakiś pokrętny etos zamiast zjawisko to marginalizować albo wprost potępiać. Rozumiem ten zarzut, ale tak szczerze: czy możemy każdą z emanacji „dzikiego typo” wrzucić do jednego worka z napisem „wandalizm”? Mam wrażenie, że o ile co do niektórych działań nie ma najmniejszych wątpliwości, że czynią one jedynie szkodę (vide akcje wspomnianego maniaka-dewastatora, czyli „Haikupsychola”), to czy możemy stawiać znak równości między jego działaniami a tym, co na murach pozostawia po sobie na przykład Kacper Zaorski? I znów niczym bumerang powraca pytanie: gdzie kończy się sztuka, a zaczyna wandalizm?

Na pytanie powyższe próbowali też odpowiedzieć twórcy albumu Polskie zmo-ry. Graffiti: sztuka czy wandalizm? wydane przez wydawnictwo Comer w roku 1991. Książka ta, choć z dzisiejszej perspektywy urągająca jakimkolwiek standardom wydawniczym (cóż, znak czasów), zawiera szereg trafnych spostrzeżeń na temat sztuki ulicznej, formułowanych przez ludzi świata kultury i sztuki: Agnieszkę Osiecką, Krzysztofa Zanussiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Jerzego Dudę-Gracza, Eryka Lipińskiego i wielu innych. Do Polskich zmo-ry warto zajrzeć nie tylko dla przyjemności obcowania z kwiecistą polszczyzną, w jaką ubrały swe (poniekąd trafne) uwagi i spostrzeżenia wyżej wymienione osobistości. Jest jeszcze jeden powód: na przykładzie tej publikacji doskonale widać, jak w ciągu ostatnich trzydziestu lat zmieniła się w naszym kraju percepcja i stosunek do street artu oraz jego forma i treści, które sobą niesie. Przez te trzy dekady świat się zmienił. Transformacji uległa świadomość i nastroje społeczne. Targają dziś nami inne niż wówczas namiętności i potrzeby. Pojawiły się nowe obiekty zainteresowania twórców. Wyewoluował język.

Jedne tematy się zdezaktualizowały, a w ich miejsce narodziły się nowe, o jakich wówczas nikt nawet nie śnił... I choć na skutek wpływających dekad na murach goszczą dziś już zupełnie inne hasła, jedno jest niezmiennie: farba i kawałek muru to wciąż żywy środek komunikacji.

Cóż zatem jest w tym medium tak kuszącego? Co sprawia, że z takim zapalem, nie bacząc na potencjalne konsekwencje, wciąż sięgamy po puszkę sprayu, gruby marker lub farbę i pędzel? W Polskich zmorach autorzy dotykają tego fenomenu przywołując fragment szkicu prof. Marii Janion pt. Ciemna młodość Gombrowicza.

Czwartek

Powiedzieć, czy nie powiedzieć? Rok temu, mniej więcej, zdarzyło mi się co następuje. Zaszedłem na Callao do ustępu w kawiarni... Na ścianach były rozmaite rysunki i napisy. Ale nigdy nieprzytomna zachcianka nie wrzepliaby się we mnie, jak żądło trujące, gdybym przypadkiem nie namacał ołówka w kieszeni. Ołówek był atramentowy. Zamknięcie, izolacja, pewność, że nikt nie zobaczy, jakaś zaciszność... a szmer wody szeptał: zrób to, zrób to, zrób to. Wyjąłem ołówek. Pośliniłem. Napisałem na ścianie, wysoko, aby trudniej było zatrzeć, napisałem po hiszpańsku coś, och, zupełnie niewybrednego, w rodzaju: »Panowie i panie miejcie tę naturę...«. Schowałem ołówek. Otworzyłem drzwi. Przeszedłem przez całą kawiarnię i wmieszałem się w tłum na ulicy. A tam napis pozostał. Odtąd egzystuję ze świadomością, że tam jest mój napis. Wahałem się, czy mam to ujawnić. Wahałem się nie ze względów prestiżowych, ale ponieważ słowo pisane nie powinno służyć rozpowszechnianiu pewnych... manii... A jednak nie będę ukrywał: nigdy, nigdy nie zamarzyło mi się nawet, że to może być tak... elektryzujące... i ledwie mogę się powstrzymać od wyrzutów, że tyle lat zmarnowałem nie znając rozkoszy równie taniej i pozbawionej wszelkiego ryzyka. Jest w tym coś... coś dziwnego i upajającego... wynikającego prawdopodobnie ze strasznej jawności napisu, który tam jest na ścianie, w połączeniu z absolutnym zatajeniem sprawcy, który jest nie do odkrycia. A również, że to zupełnie nie na poziomie mojej twórczości...

Powyższy fragment Dziennika Witolda Gombrowicza komentuje Maria Janion następująco: „W systemie kultury, przeciw któremu konfesja została skierowana, wychodki stanowią rodzaj »podziemia«, rodzaj »kontrkultury«, a do zachowań najbardziej »niskich« należy wypisywanie nieprzyzwoitości w ustępie (...) przy czym



Gombrowicz z całą premedytacją uwypatnia wszystkie erotyczne i plebejskie wulgaryzmy swego postępowania (więc np. ołówek kopiowy, pośliniony). Obsesyjną żądę zbrukania zaspokajają jednak niezwykle szlachajanie się w rynsztoku, lecz skandalicznie czynność sekretna, która wyzwala cudownie lekkie poczucie bezkarności (mowa przecież o rozkoszy, tak, o rozkoszy »taniej i pozbawionej wszelkiego ryzyka«). (...) Jeszcze jedno należy dodać. W opowiedzianym epizodzie wraz z upajającą, wulgarną »niższością« ujawniona zostaje jej strona niedojrzała, sztubacka, młodzieńcza – tak przecież zabawiają się przede wszystkim ludzie młodzi. Jeśli weźmie się pod uwagę związek napisów w ustępie z »graffiti« na murach wielkich miast oraz ostatni wybuch takich »graffiti« w Ameryce, interpretowany jako eksplozja kontrkultury młodych, zmierzających do swoistej humanizacji miasta, to widzi się ciągle na nowo, jak Gombrowicz bezustannie krążył wokół rozmaitych tematów młodości, utożsamiając ją z niższością, a również z poniżeniem, które ciągle szturmują kulturę »oficjalną«.

Istotnie „elektryzująca” i uzależniająca musi być ta rozkosz płynąca z pozostawiania po sobie śladu pośród miejskiej tkanki. Można by powiedzieć, że niektórzy wręcz odnaleźli w niej swą pasję i sposób na życie. Ale o tym za chwilę...

Z murów pod strzechy, *czy jakoś tak...*



Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim typo*)

Mniej więcej dziesięć lat temu o łódzkim „dzikim typo” usłyszała cała Polska. A stało się to za sprawą tajemniczego jegomościa ukrywającego się pod pseudonimem Janusz III Waza. Zyskał on sławę ośmieszając wulgarne i pełne nienawiści napisy na murach, pozostawiane przez kibiców zwaśnionych łódzkich klubów: RTS-u i ŁKS-u. Ta święta wojna w odsłonie Janusza III przybrała formę haseł pozornie zinfantylizowanych, a w rzeczywistości ociekających absurdem i błyskotliwym dowcipem. I właśnie to zderzenie oczekiwań z rzeczywistością, ten kontrast pomiędzy standardowym ładunkiem chamstwa, do którego przyzwyczaiły nas kibolskie napisy, oraz niewinną rzeczywistością buduje siłę żartu Janusza. Prostota, finezja, zaskoczenie. „RTS szyje na maszynie do pisania”, „ŁKS zamawia musztardę po obiedzie”, „RTS nie szanuje postu”, „ŁKS trzyma sztamę z cymbałami”, „RTS nie płakał po papieżu”, „ŁKS nie czyta książek”, „RTS bije mamę różańcem w szczepionkę”, „ŁKS macza herbatniki w nocniku”, „RTS spóźnił się na swoje 5 minut” – z tych haseł śmiała się cała Polska.

Z czasem realizacje Janusza zaczęły pojawiać się też w innych miastach, że przytoczę tu jedno z najsłynniejszych jego „wyjazdowych dzieł”, czyli hasło „Wisła Kraków w sumie lubi Cracovie ale nie wie jak zagadać” (pisownia oryginalna).

Działania Janusza III Wazy cieszyły się tak dużą popularnością, że znalazły szereg naśladowców wypisujących na murach kąśliwe żarciki własnego autorstwa na temat łódzkich klubów. Raz bardziej, raz mniej błyskotliwe, czasem śmieszne, czasem tylko siłące się na dowcip. Nie da się jednak ukryć, że naśladownictwo to przecież najwyższa forma uznania i niezawodna miara popularności... Skoro o naśladownictwie mowa, na pomysłach Janusza III Wazy swoją kampanię reklamową oparło w 2018 roku nawet łódzkie lotnisko im. Władysława Reymonta. I nie obyło się tu bez zgrzytu, ponieważ twórca poczuł się wykorzystany, twierdząc, że stojąca za kampanią agencja



Fot. Kuba Szczapiński

BYWA

reklamowa żeruje na jego pomysły. Banery i billboardy przedstawiały hasła wypisane sprayem na charakterystycznych dla danego kraju obiektach architektonicznych. I tak: slogan „Barcelona myśli, że Łódź leży nad wodą” umieszczono na fasadzie kamienicy projektu Gaudiego, „Pekin stoi murem za Łodzią” na Wielkim Murze Chińskim, „Nowy Jork nie wie, że Manhattan jest w Łodzi” na Statule Wolności, „Rzym chętnie dolce wita” na Koloseum i tak dalej. Źródło inspiracji jest oczywiste i nie pozostawia złudzeń. I tak oto mainstream pozwolił sobie na przelotny flirt z undergroundem.

Prace Janusza doczekały się też uwiecznienia w postaci mini albumiku pt. RTS vs. ŁKS, czyli co mówią łódzkie mury, który ukazał się dzięki wydawnictwu PAN TU NIE STAŁ. Książeczka cieszyła się taką popularnością, że po pewnym czasie doczekała się drugiego, znacznie obszerniejszego wydania. By uniknąć niestosownego powielania treści, w tej publikacji prezentuję tylko te prace Janusza III, które nie pojawiły się w wyżej wymienionej książce.

Kolejną niezwykle interesującą postacią ze świata „dzikiego typo” jest wspomniany przeze mnie kilka stron wcześniej młody, łódzki artysta, Kacper Zaorski. Jego realizacje mocno wpisały się w bałucki pejzaż i jeśli dane Wam było po Bałutach spacerować to – nie mam wątpliwości – natknęliście się na któryś z napisów jego autorstwa. Można by rzec, że działania Kacpra mają swe źródło, podobnie jak w przypadku Janusza III, w potrzebie budowania pozytywnego przekazu i zadania kłamu stereotypom związanym z naszym miastem, chociażby poprzez wejście w dialog z kibicowskimi i hejterskimi hasłami wypisywanymi na łódzkich murach. Na tym jednak podobieństwa się kończą, ponieważ każdy z panów obrał dla realizacji swych celów inną metodę. O ile hasła autorstwa Janusza III noszą znamiona beztróskiej zgrywy, o tyle Kacper w swych działaniach dotyka zagadnień aksjologicznych (nie odbierając im jednak wspomnianego ironicznego rysu). To właśnie Kacper jest autorem słynnych haseł: „Dobro, piękno, prawda”, „Wolność, równość, Bałuty”, „Witajcie w krainie prawdy i piękna”, „Limanka żyje dobrą sztuką”, „Zwykły akt wandalizmu – ślad, że jestem” czy „Tyle piękna wokół, że trudno to znieść”. Na pozytywnym przekazie doprawionym jednak pewną dozą gorzkiej ironii zbudował on specyficzny dla siebie język, chyba równie rozpoznawalny, co charakter jego pisma...



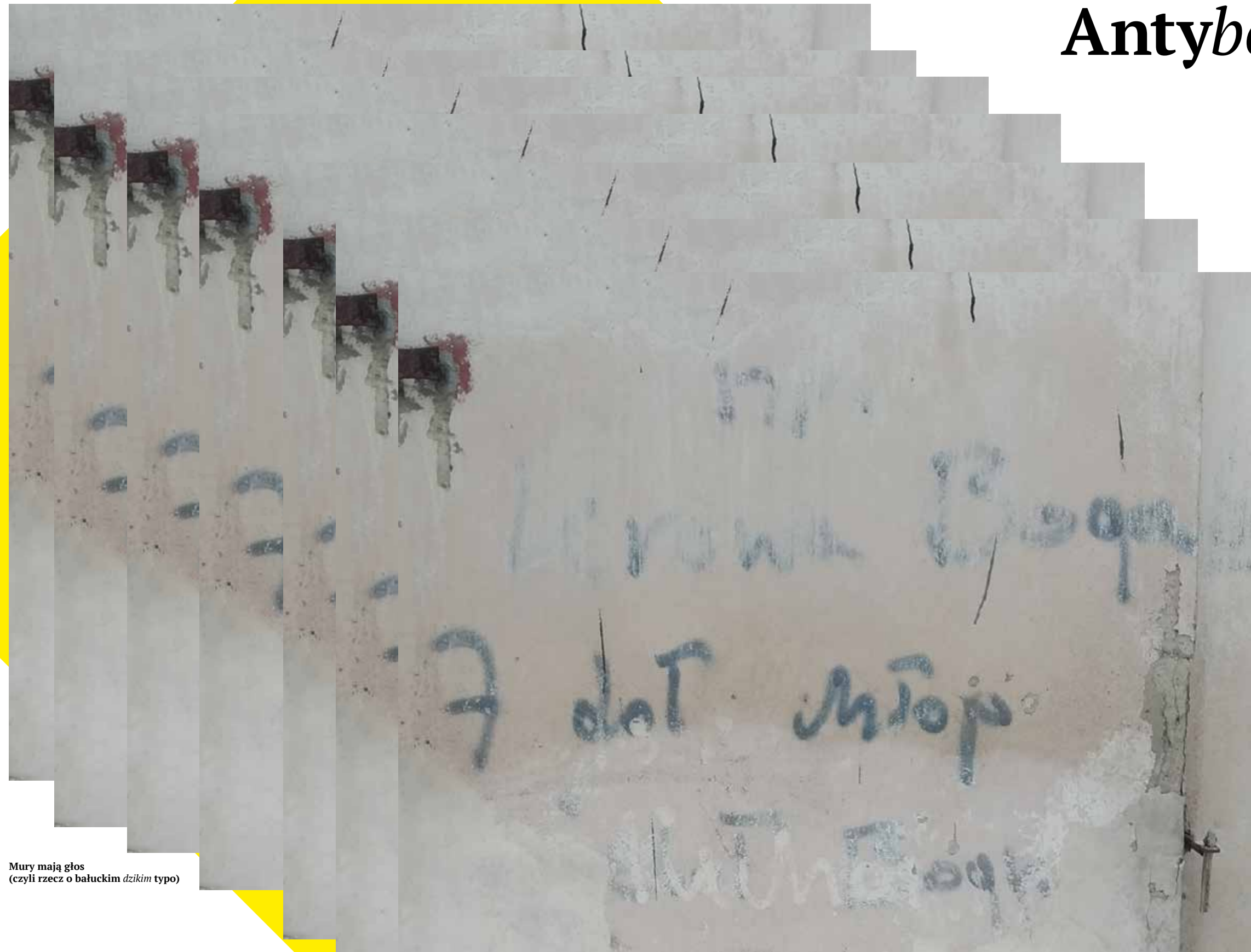
Fot. Bałuty Pany i Panie

Akcja umieszczania haseł na bałuckich murach w pewnym momencie stała się dla Kacpra Zaorskiego równie istotnym medium artystycznego wyrazu, co malarstwo. Zresztą – licząc od 2019 roku – napisy jego autorstwa były bohaterami już pięciu wystaw¹. W niniejszej publikacji znajdziecie obszerny zbiór „ulicznych” prac Kacpra, a także zapis rozmowy na temat filozofii przyświecającej jego artystycznym działaniom.

¹ W 2019 były to *Kipisz 11: Bałuty Pany i Panie oraz bałucka solówka* (CK Ryba, Ogrodowa 26, Łódź) oraz wspomniane już *BaŁUTy Tożsamości* (Miejska Galeria Sztuki – Galeria Bałucka, Stary Rynek 2, Łódź). W roku 2020 – *Wolność słowa mazanego* (Biblioteka Rozgrywka, Powstańców Wielkopolskich 3, Łódź) oraz *Zwykły akt wandalizmu. Ślad, że jestem* (Galeria Pop – up, Ogrodowa 8, Łódź). W tym roku wystawa prac Kacpra Zaorskiego odbyła się w ramach Fotofestiwalu (Art Inkubator, Tymienieckiego 3, Łódź).

ŚMIERĆ KONFIDENTOM

Antybohater...



Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)

A teraz kilka słów na temat niechlebnego oblicza „dzikiego typo”. Na poprzednich stronach parokrotnie przewinęła się postać pewnego jegomościa, który (niestety) odcisnął na obliczu naszego miasta ślad nie mniejszy, niż Janusz III Waza czy Kacper Zaorski. Myślę o Wiesławie W., człowieku wielu imion.

„Haikupsychol”, „Bazgroł”, „7 było”, „Mazior”... Lokalne media wykazały się dużą kreatywnością w wyszukiwaniu nowych przezwisk dla tego pana. Myślę, że większość łódzian zna jego „dorobek”. Straty poczynione przez „Haikupsychola” na przestrzeni dekad liczone są w setkach tysięcy, o ile już nie w milionach złotych. Przez lata ten maniak-dewastator pokrył swoimi bazgrołami setki kamienic, bloków, ogrodzeń, przejść podziemnych, kiosków, pawilonów, wiat przystanków MPK, a nawet koszy na śmieci. Każdy fragment pustej przestrzeni był dla niego zachętą do działania.

Choć personalia tego człowieka są powszechnie znane, jego działania są poza kontrolą. Mimo że lokalne gazety parokrotnie donosiły o kolejnym zatrzymaniu Wiesława W. i o jego podróży do szpitala psychiatrycznego, po jakimś czasie „uleczony” wandal zawsze wracał i ze zdwojoną siłą kontynuował niszczenie miasta. Na łódzkich murach znowu pojawiał się bełkot nafaszerowany ulubionymi motywami „Haikupsychola”: „7 było nie głosuj”, „nie pij krwi Jezusa to żydy są”, „głosowanie grzechem Bóg Raj oni – NIE”, „murzyn jest błąd w pacierzu”, „nie głosuj to żydy są”, „kara będzie Boga pomylili 7 było” itd.

W związku z orzeczoną chorobą psychiczną mężczyzna jest praktycznie bezkar-ny. Dlaczego o tym piszę? Otóż chciałem się z Wami podzielić ciekawostką. Jestem pewien, że wielu z Was mijając bazgroły Wiesława W. (poruszając się po Łodzi niemożliwym jest, aby się na nie nie natknąć, tak potężna jest skala zjawiska) zastanawiało się: o co tu w ogóle chodzi? Owocem jakiego chorego umysłu jest ten bełkot podlany religijno-polityczno-ksenofobicznym sosem? Ponieważ przypadek ten jest

Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)

niezwykle ciekawy i spektakularny, pytanie to nurtowało również specjalistkę psychiatrii, Justynę Szyburską. W jej głowie zakiełkował pewien intrygujący pomysł, którym postanowiła się ze mną podzielić.

Od kilkudziesięciu lat całe miasto może czytać jego myśli. Nie tylko może, ale musi, bo napisy są wszędzie. Chyba we wszystkich dzielnicach, na murach, w bramach. Był bóg, szatan, Murzyn, były polecenia, ostrzeżenia, było »7 było« i tak też był nazywany – »7 było«. Największą sławę zdobył jednak jako »Haikupsychol«, które to przezwisko jednocześnie podnosi napisy do rangi poezji (haiku – japońska forma poetycka reprezentatywna dla okresu Edo) i degradowuje autora jako osobę chorą psychicznie. Kontekst choroby jest jednocześnie fascynujący i kontrowersyjny. Gdyby oceniać same napisy, to czytamy urojenia, być może napędzane halucynacjami, formalne zaburzenia myślenia, postępujący rozpad myśli. Zawsze w napisach przebijają idee nadwartościowe. Cytując za podręcznikiem Psychiatria Piotra Gałęckiego i Agaty Szulc: Jako ideę nadwartościową opisuje się dominujące u danej osoby przekonanie, nierzadko zgodne z prawdą, z którym jest ona niezwykle silnie związana emocjonalnie, a które wyznacza cele życiowe i determinuje większość działań tej osoby. Myśl nadwartościowa może dotyczyć kwestii religijnych, społecznych, naukowych (co nierzadko wiąże się z żarliwym jej propagowaniem) (...) Myśli nadwartościowe, którym osoba nadmiernie podporządkowuje swoje działanie kosztem zaniedbania innych aktywności, czynią wzorce zachowań nieelastycznymi, nierzadko fanatycznymi, i tym samym prowadzą do istotnych zaburzeń funkcjonowania społecznego. W swej skrajnej postaci idee nadwartościowe, ze względu na niewielką zdolność do ich krytycznej oceny czy korekcji, bywają trudne do odróżnienia od urojeń. Początkowo napisy były koherentne, zborne, trzymały formę zdań, tworzyły akapity. Od kilku lat bliżej im do schizofazji, widać rozluźnienie skojarzeń, nieskładność gramatyczną, uskokowość myślenia. Ale czy można oceniać w kontekście psychopatologicznym jedynie napisy bez spekulacji dotyczących autora? Sugerowanie diagnozy choroby psychicznej bez osobistego zbadania i uzyskania zgody na nie jest poważnym nadużyciem. Zapytałam ekspertów psychiatrii, czy można opisywać »Haikupsychola« w kontekście choroby psychicznej i oni (profesorowie Norman Satorius i Graham Thornicroft) odpowiedzieli jednogłośnie, że nie.

Autorka tych słów natrafiła na istotną przeszkodę natury etyczno-prawnej. Mogłaby bowiem „oceniać” jedynie napisy, chroniąc anonimowości ich autora, i ewentualnie na ich podstawie spekulować. Ale w przypadku tych przekazów



Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Łukasz z Balut

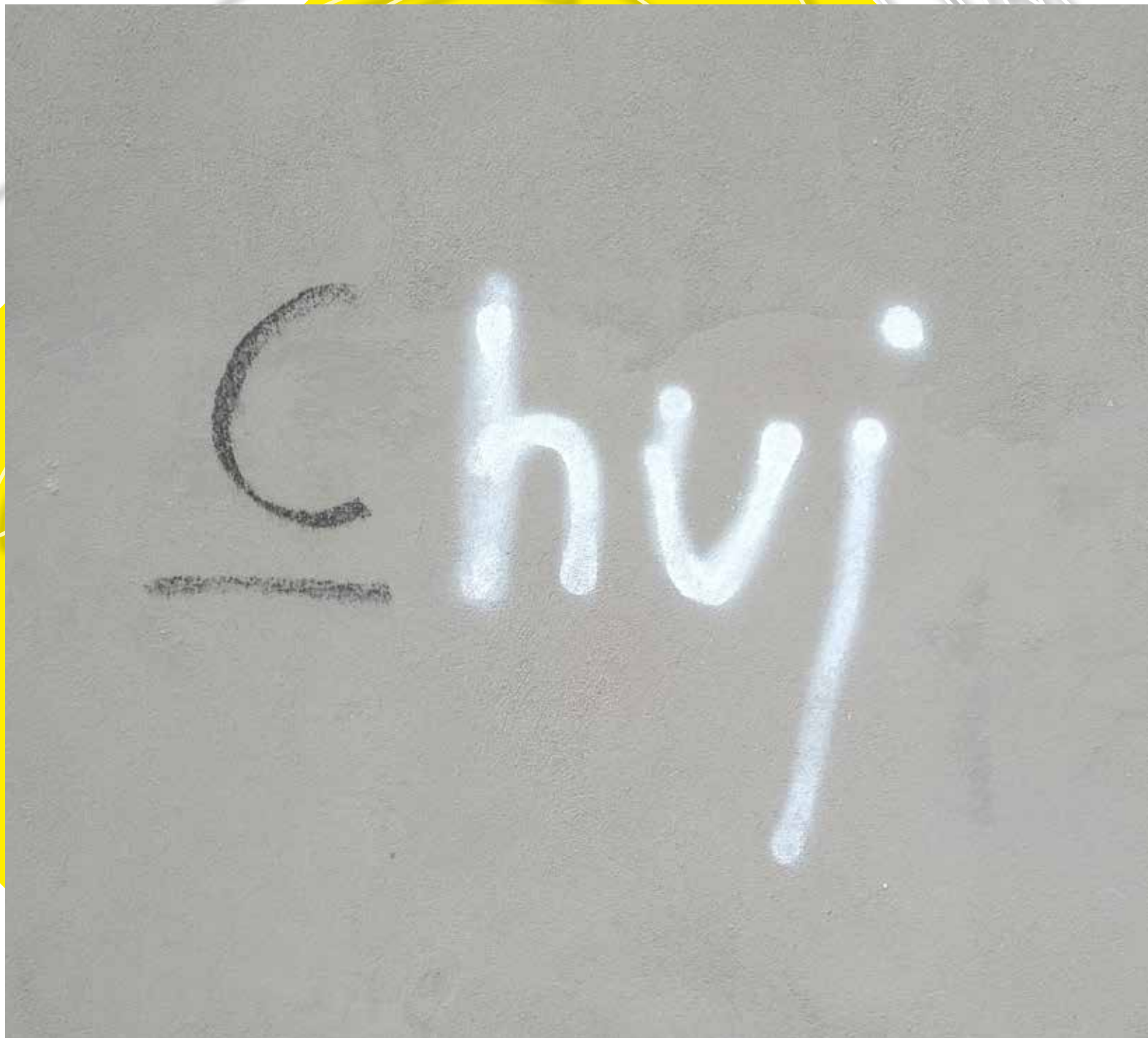
(niezwykle charakterystycznych zarówno od strony ich formy, jak i treści) o anonimowości autora nie może być przecież mowy. I tutaj rodzi się zabawny paradoks dotyczący sprawy „Bazgroła”. Co prawda wszyscy zainteresowani sprawą mają świadomość, kim jest ten człowiek oraz że parokrotnie był on już zamykany w szpitalach psychiatrycznych, bo pisała o tym prasa. Jednak profesjonalista – lekarz psychiatra – nie może poruszyć zagadnienia na forum, ponieważ obowiązuje go tajemnica lekarska. Wydaje się więc, że temat „Haikupsychola” jest nie do ugryzienia. Nie tylko przez Justynę Szyburską, ale także (a może przede wszystkim) przez lokalne władze oraz służby odpowiedzialne za utrzymanie miasta we względnym ładzie i porządku.

Dobiega końca rok 2021. W przyszłym, zgodnie z wieloletnią tradycją, na ścianach łódzkich kamienic zapewne wykwitną setki nowych bazgrołów Wiesława W. Do tego czasu licznik kosztów związany z destrukcyjnym działaniem tego pana zdąży się już pewnie przekroczyć...



Fot. Kuba Szczapiński

Dwa słowa na *koniec...*



Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)

W publikacji nie prezentuję rzecz jasna każdego przejawu „dzikiej typoaktywności”, na jaki natknąłem się na bałuckich murach. Po pierwsze, umieszczenie tu ich wszystkich byłoby o tyle ryzykowne, że książka rozrosłaby się do rozmiarów żelbetonowej płyty stropowej, a po drugie – w moim odczuciu zwyczajnie nie każdy z nich zasługiwał na uwiecznienie.

Wedle jakiego klucza dokonałem zatem selekcji materiałów? Na pewno nie przerażały mnie słowa oficjalnie uznawane za niecenzuralne, o ile ich użycie było dyktowane czymś więcej aniżeli tylko chęcią „rzucenia mięsem”. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z istnienia słów nieparlamentarnych, a część z nas posługuje się nimi na co dzień, hipokryzją więc byłoby udawanie, że porozumiewamy się poetyckim trzynastozgłoskowcem.

Kryteriami jakimi kierowałem się podczas wyboru prezentowanych tu napisów były ich oryginalność, wydźwięk, dowcip, jakość frazy. I choć zdaję sobie sprawę, że możemy mieć różne gusta, a każdy z nas coś innego uzna za godne uwagi, mam nadzieję, że zawierzycie moim wyborom i dacie się zaprosić na podróż śladami bałuckich „pisarzy naściennych”.

Szczerze liczę, że da Wam ona co najmniej tyle radości, ile dała mnie.

Kuba Szczapiński, Łódź 2021

***** **

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Łukasz z Bałut

ZAKUTE
ŁBY

OTWARTE
SERCA

Zwykły akt *wandalizmu*

Rozmowa z Kacprem Zaorskim – malarzem, twórcą instalacji i zarazem jednym z najoryginalniejszych twórców „dzikiego typo”, którego realizacje od lat pojawiają się na bałuckich murach.

Z Kacprem spotkaliśmy się w jego połączonym z pracownią mieszkaniu na szóstym piętrze wielkopłytkowego bloku stojącego w sercu Starych Bałut. Zabudowa ulicy Ks. Brzóska jest niezwykle symboliczna i zarazem reprezentatywna dla tej części miasta. Rozsypujący się, od lat przeznaczony do rozbiórki poczerniały ze starości drewniak, pamiętający początek ubiegłego stulecia, stoi tuż obok mrówkowców z lat siedemdziesiątych. Nieopodal nieskanalizowane czynszówki i ruina starego browaru. Między nimi lśniąca nowością stacja benzynowa. Podróż przez grubo ponad sto lat łódzkiego budownictwa zaklęta w kwartale ulic. A każdy z tych obiektów trwa pośród reszty jak równy z równymi. Ekstrakt z kontrastów, widoczny tu jeszcze bardziej, niż w innych częściach miasta.



Fot. Kuba Szczepiński

Kacper Zaorski

KUBA SZCZAPIŃSKI: Kiedy na Bałutach zaczęły się pojawiać pierwsze napisy Twego autorstwa, wydały mi się błyskotliwie dowcipne, bo w sposób nietuzinkowy bawiły się kontekstem miejsca. Inteligentnie grały z otaczającymi je „żydzewami”, „chwdp” i im podobnymi. Mówiąc o pierwszych Twoich realizacjach mam na myśli napisy z cyklu „dobro, piękno, prawda” czy też pamiętne „witajcie w krainie prawdy i piękna”. Wedle moich rachunków pierwsze tego typu perełki umaiły bałuckie mury jakieś siedem, może osiem lat temu...

KACPER ZAORSKI: Wydaje mi się, że nieco mniej. To było raczej jakieś pięć lat temu.

Czy słusznie początki Twych działań utożsamiam z tymi właśnie akcjami? A jeśli nie, to jak to się wszystko zaczęło?

Kiedy byłem dzieckiem główną naszą zabawą było bieganie z puszką spray’u albo z mazakami i jakieś takie oznaczanie swojego terytorium, podwórkowe wojny o to, kto komu zamalował napis i tak dalej.

Zanim zacząłem umieszczać na murach swoje teksty, zdarzało mi się też robić szablony: motywy oczu, jakiś budda... Bawiło mnie pozostawianie po sobie konkretnego śladu pośród zniszczonej

tkanki miejskiej. Zdarzało mi się też zamalowywać rasistowskie hasła, co zresztą nadal robię. Rzecz jasna w miejsce przeze mnie zamalowanych natychmiast powstawały nowe, w związku z czym miałem ochotę zostawić tam coś swojego, zamiast tych haseł. To oczywiście ewoluowało i z czasem zacząłem coraz większy nacisk kłaść na kontekst miejsca, tak, aby lokalizacja pasowała mi do hasła, a nie tylko żeby zająć swoimi słowami pierwsze lepsze miejsce...

Prócz napisów tworzyłem też instalacje, które pozostawiałem w przestrzeni miejskiej. Te instalacje najczęściej miały o wiele krótszy żywot, niż napisy na murach... Najdłużej przetrwała kapliczka, która co prawda tej wiosny została zniszczona, ale ponad dwa lata sobie powisała. Mam zresztą plan by ją naprawić i wkrótce powiesić ponownie (śmiech)...

Powiesz parę słów więcej na temat Twoich instalacji?

Najczęściej były one tworzone z rzeczy znalezionych, porzuconych. Niejednokrotnie wykorzystywałem też starocie kupione na rynku bałuckim, na przykład lalki. Tak było w przypadku wspomnianej kapliczki z Maryjką trzymającą miecz i „cudownie wyzwalającą naród polski od patriarchatu i kapitalizmu”.

Zajmuję się również malarstwem i używanie podczas tworzenia instalacji takich a nie innych materiałów wzięło się właśnie stąd. Często bowiem w swoim malarstwie używam elementów znalezionych, niepotrzebnych. Jest we mnie duża potrzeba wyjścia ze swymi działaniami w przestrzeń i wejścia ze społecznością, w której żyję, w interakcję, ponieważ malarstwo jest medium mocno zamkniętym, monologizującym. Chodziło mi o kontekst miejsca i o ludzi, którzy żyją w moim bezpośrednim otoczeniu, w tej wspólnotowości. No i oczywiście o przywiązanie do Bałut...

Uprawiana przez Ciebie forma wypowiedzi, którą na potrzeby tej publikacji określam mianem „dzikiego typo” jest niezwykle efemeryczna. Napisy na murach ewoluują, są zamalowywane, zadrapywane, giną wraz z wyburzanymi budynkami...

Tak, to naturalne.

Rodzi się więc pytanie czy Twój pierwszy napis jeszcze istnieje i czy w ogóle pamiętasz jaka była jego treść? Myślę o pierwszej realizacji w ramach projektu dzięki któremu zrobiło się o Tobie głośno, czyli o „dobru, pięknu, prawdzie”. Czeka, powinienem powiedzieć o „dobrze, pięknie, prawdzie”. Wróć, „o dobru, pięknie, prawdzie”. Rany boskie, niedostateczny z deklinacji!

(śmiech) Żeby pamiętać, to nawet sobie to wytatuowałem. A odpowiadając na twoje pytanie, dokładnie nie jestem w stanie powiedzieć, która z prac była pierwsza. W tamtym czasie jeszcze nie prowadziłem dokumentacji swoich działań i zanim się za to zabrałem, to większość tych napisów poznikała...



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie

Ale teraz już sumiennie wszystkie swe realizacje dokumentujesz?

Tak.

Chciałbym wrócić do zagadnienia nietrwałości, tendencji do ewoluowania i zanikania Twych napisów. Uważasz tę ulotność za wadę czy raczej romantyczną wartość tej formy wyrazu?

Przyznam, że gdy znikają, to mi trochę szkoda, ale z drugiej strony wpisuje się to w kontekst. Chcę przecież zwrócić uwagę na znikającą tkankę miejską, na przemijające Bałuty i naturalną kolejną rzeczy te moje napisy jako część wspomnianej tkanki po prostu znikają...

Napisy znikają, ale pewną przeciwwagą dla ich efemeryczności jest trwałość Twego malarstwa...

Tak, malarstwem zajmuję się równolegle. Ale w malarstwie też interesuje mnie przemijalność, stąd często korzystam z asamblaży, z tych wspomnianych już elementów znalezionych. W moim przypadku bardzo częste jest trawienie podobnych bodźców ze świata w dwóch równoległych płaszczyznach twórczości. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się je sprowadzić do jednej drogi.

Wspomniałem o nietrwałości niejako wpisanej w definicję „dzikiego typo”, ale przecież od reguły zawsze istnieje wyjątek. Przykładem może być choćby szablon, który mieścił się na murze kamienicy przy ulicy Limanowskiego niedaleko Zachodniej. Mam na myśli słynne „3xTAK!”, czyli pamiątkę po referendum ludowym z 1946 roku. Szablon ten został zamalowany dopiero w okolicach 2007 roku. Nie wiem, czy

go pamiętasz? Niestety jakiś ignorant podczas remontu elewacji zwyczajnie go zamalował, obracając w niwecz bezcenny element naszej historii. Pamiątkę wstydliwą, ale o niezaprzeczalnej wartości edukacyjnej...

Tego akurat nie kojarzę, ale jakiś czas temu podobny akcent historyczny wpadł mi w oko na ulicy Żeromskiego, gdzie pod współczesną tablicą z nazwą ulicy widnieją resztki nazwy pisanej po niemiecku. Ciekawe, czy jeszcze coś z tego napisu zostało...

To pytanie należałoby skierować do Marii Nowakowskiej. Ona bowiem od kilku lat z pietyzmem dokumentuje takie łódzkie „literoduchy”. Do tej pory chyba jeszcze nie udało mi się jej żadnym zaskoczyć, a próbowałem wielokrotnie... Chciałbym jednak wrócić do tematu ulotności Twych realizacji. Zmierzając na nasze dzisiejsze spotkanie mijalem róg ulicy Zachodniej i Limanowskiego (ta lokalizacja zresztą przewinie się jeszcze w naszej dzisiejszej rozmowie), gdzie do niedawna istniał słynny napis Twojego autorstwa „wolność, równość, Bałuty”. Sfatygowany, spluty, ale jednak do niedawna jeszcze tam był. Zabawne jest, jak bardzo musiał kogoś drażnić... Najpierw bowiem Twe hasło zostało przekreślone jakimś takim cienkim pędzlem, zbyt cienkim, by treść przestała być czytelna. I na jakiś czas tak to sobie zostało. Ale nadszedł moment, w którymś ktoś włożył w sprawę więcej wysiłku i zamalował napis grubszym pędzlem, ławkowcem chyba, ale znowu miał pecha, bo hasło wciąż trochę prześwitywało... Na szczęście dzisiaj zauważyłem, że ktoś nareszcie podszedł do sprawy rzetelnie i w miejscu „wolności, równości, Bałut” widnieje już tylko duży ciemnoszary prostokąt, który dokładnie przykrył to, co było pod nim.



Fot. Bałuty Pany i Panie

Przyznam ci się do zrobienia czegoś, czego zazwyczaj nie robię. Powtórzyłem ten napis w tym samym miejscu. To o czym mówisz, to było już jego drugie życie. To hasło wyjątkowo kogoś denerwowało...

Mieszkasz w miejscu naznaczonym historią getta, umęczenia **dziesiątek tysięcy istnień. Dziś, w roku 2021, wciąż poruszamy się pośród niemych świadków tych potwornych zdarzeń. Górują nad nami te same kamienice, gdzieś pod asfaltu wyziera bruk pamiętający jeszcze tamten czas. Na cmentarzu żydowskim nadal istnieją wykopane w styczniu 1945 roku doły, które miały stać się zbiorowymi grobami ostatnich mieszkańców getta, którzy tylko cudem uniknęli śmierci. Czy postrzegasz Bałuty przez pryzmat tragicznej historii, której tłem się stały?**

Tak. I cieszę się, że o historii tego miejsca coraz więcej się mówi, że przypomina się o żydowskiej historii Bałut. Niezwykle ważna jest pamięć o tej tragedii, która się tu wydarzyła. To dla mnie oczywiste. Myślę jednak, że zbyt mało się mówi o współegzystencji ludzi różnych wyznań i narodowości. Wiem, że my Polacy mamy duży problem z rozliczeniem się z własną historią, że tworzymy sztuczne podziały typu „ci byli nasi, tamci byli nie nasi”. Zbyt często odcinamy się też od kontekstu czasu i miejsca.

Tak. I mam poczucie, że nasza historia jest wciąż jakąś taką niezabliźnioną raną. Tematem niezwykle drażliwym, nie przepracowanym. Słabizną, której nie wolno tknąć, bo zaraz podnosi się burza, rodzą się podziały.

To fakt. Jakiś czas temu robiłem zdjęcia kamienicy przy ulicy Kaszubskiej. W pewnym momencie z budynku wyszedł człowiek i zaczął mnie wypytować: kim jestem, po co robię te zdjęcia, dla kogo pracuję itd. Pan miał w sobie bardzo mocno zakorzeniony strach, że w ramach zwrotów mienia spadkobiercom przedwojennych właścicieli ktoś się pewnego dnia po tę kamienicę zgłosi. Dodam tylko, że to był budynek wciąż bez kanalizacji, bez bieżącej wody, w fatalnym stanie technicznym.

Wciąż żyjemy w niepewności, w strachu.

Widzę w ludziach frustrację powodowaną niemocą i wykluczeniem. Jak już wspomniałem, jestem niezwykle przywiązany do Bałut, kocham je, ale też rozumiem, że trudno musi się żyć w tych rozpadających się kamienicach, w warunkach jak z dziewiętnastego wieku. Niewątpliwie ciężko jest funkcjonować mając toaletę na zewnątrz, gdzieś na podwórku, z której trzeba korzystać również zimą. A tuż obok, niemalże pod twoim nosem powstaje klocek deweloperski z mieszkaniem, na które zapewne nigdy nie będzie cię stać. Często chodzę po pustostanach i widzę tam ludzi, którzy muszą w takich warunkach koczować. To bardzo zmienia perspektywę. Jestem wdzięczny, że mam ciepłe miejsce, w którym mogę żyć, spać. Jestem uwrażliwiony na ludzką biedę, empatyzuję. Długo działałem w Food Not Bombs i na ulicy poznałem bardzo dużo bezdomnych. To często byli wspaniali, ciekawi i wrażliwi ludzie, którym się po prostu w życiu noga podwinęła.

Twoje teksty stały się znakiem rozpoznawczym Bałut. Wydają się być z nimi nierozzerwalne, niejako organicznie z nich wyrastają. Urzekający jest ten mariaż rozpadającej się, ginącej materii i pięknej treści, perfekcyjnej frazy. Jak zazwyczaj

przebiega proces doboru miejsca pod Twe realizacje? Bo jak już wspomniałeś wcześniej, są one nieprzypadkowe. Zresztą to od razu rzuca się w oczy. Twoje teksty zdają się być dopełnieniem przestrzeni, w której je umieszczasz. Mam na myśli zarówno fakt, że niejednokrotnie treść napisu jest do tych miejsc komentarzem, ale chodzi również o dopełnienie od strony czysto formalnej. Często bowiem blok tekstu sprawia, że kompozycja przestrzenna (na przykład resztki wyburzonej kamienicy, fragment muru) staje się dzięki niemu kompletna.

Niektóre lokalizacje same inspirują mnie do umieszczenia konkretnego komentarza. Widząc takie miejsca mam spontaniczną potrzebę umiejscowienia go tam. Bywa też tak, że treść napisu powstaje wcześniej i szukam dla niego odpowiedniego miejsca. Na przykład przy hasle „pomnik zmagających ducha z materią” bardzo chciałem znaleźć jakiś budynek z którego murów wyrasta drzewo, miejsce, w którym widać rozpad, na którym jednak wyrasta coś nowego.

Tak, Twe intencje są tutaj bardzo czytelne. Pierwsze przykłady jakie przychodzą mi na myśl to chociażby napis „nieoczywiste piękno” umieszczony przy ulicy Zachodniej na malowniczej resztkę muru pozostałej po wyburzonej kamienicy. Mur ten tkwi tam od lat jak pomnik, wspomnienie świata, który dawno już przeminął. Kolejny przykład: „koniec każdej rzeczy jest ważny” na ulicy Polnej, wpasowany w kolorową, błękitno-różową „łatę”, która była kiedyś fragmentem czyjegoś pokoju, a obecnie jest tylko śladem po nieistniejącym już budynku. Pozostał tylko duży, kolorowy prostokąt – jedna ze ścian przepadłego pomieszczenia. Wyziera z tego swoisty romantyzm postapokaliptyczny...

Tak, to z mojej strony po prostu potrzeba nazwania tego, co odczuwam mijając to miejsce. Być może gdyby ktoś zrobił temu obiektowi świetne zdjęcie, to ta sama treść w sposób wizualny byłaby oddana i może w takim przypadku pisanie na nim komentarza byłoby zbędne.

Wróćmy do „nieoczywistego piękna”. Ten napis widziałem też na ulicy Sierakowskiego na ścianie jednej z kamienic, tuż pod tablicą ogłoszeń. Domyślałam się, że nie było Twym zamiarem nawiązanie do widniejącego tam plakatu z którego uśmiecha się do nas „wyfotoszopowane” zdjęcie pewnej nestorki polskiej piosenki... (śmiejch)

Nie, wcześniej wisiał tam inny plakat. Swoją drogą „nieoczywiste piękno” to był jeden z napisów, które powtórzyłem.

Pozwólmy sobie teraz na odrobinę taniej sensacji: czy podczas Twoich akcji przytrafiły Ci się jakieś niebezpieczne, bądź konfliktowe sytuacje? A może przeciwnie, masz w zanadrzu jakąś zabawną, anegdotyczną historię dotyczącą tworzonych przez Ciebie napisów?

Podczas malowania na Limanowskiego „empatii”, a był to napis bardzo duży i malowany pędzlem, a więc stosunkowo czasochłonny, zauważyłem idącą w moim kierunku grupę mężczyzn. Podejrzywałem, że chcą mi spuścić łomot. Dodam, że było to późno w nocy. Zacząłem się oddalać, ale zauważyłem, że oni idą za mną coraz szybciej. Schowałem się do jakiejś bramy. Oni weszli do niej za mną i zaczęli coś do mnie krzyczeć. Zatrzymałem się. Okazało się, że wcale nie chodziło im o powstający napis.



Fot. Kuba Szczapiński

Zapytali mnie, czy orientuję się może, gdzie jest najbliższy otwarty sklep z alkoholem...

I co, wykazałeś się empatią i pomogłeś panom?

Tak, pomogłem zlokalizować najbliższy sklep.

„Empatia” była faktycznie bardzo dużym napisem. Ile czasu zajęło ci wymalowanie go?

Kilkanaście minut.

Niestety ktoś okazał się mało empatyczny i niedawno również go zamalował.

Niestety.

Swego czasu dokonałeś artystycznego coming outu i zacząłeś swe prace upubliczniać w sieci pod swoim imieniem i nazwiskiem. To dość nietypowe dla ludzi wyrażających się poprzez street art. Z wielu powodów wygodniej jest pozostać w cieniu. Jak wyglądał proces Twego dojrzewania do porzucenia anonimowości?

W pewnym momencie moje napisy zaczęły żyć własnym życiem w internecie. Nie budziło to mego sprzeciwu, póki nie zaczęły być wpisywane w inny kontekst niż ten, o który mi chodziło. Zdecydowałem się publikować je i pokazywać w kontekście, jaki zamierzyłem, jako element przemyślanej przeze mnie całości. Poza tym miałem potrzebę, by zacząć je dokumentować z powodu tego, że błyskawicznie znikają. Czasem dokumentowałem też to, jak znikają, ewoluują, co powstaje na nich...

A w jaki konkretnie sposób przeinaczono wydźwięk Twych prac?

Weźmy choćby taki przykład: ostatnio miałem okazję w mediach społecznościowych zobaczyć dyplom powstały na Akademii Sztuk Pięknych, którego autor przywłaszczył sobie stworzony przeze mnie motyw (który nota bene był też tytułem dwóch moich wystaw, projektem, który przeniosłem na koszulki i nazwą mego profilu w mediach społecznościowych) i przedstawił go jako swoje działanie. Mówiąc wprost, takie wykorzystanie było dla mnie przykre. Oczywiście nie mam zamiaru walczyć o swoje prawa autorskie, ale nie da się ukryć, że to było zwyczajne przywłaszczenie. Takiego działania nie lubię... Ale jest też druga strona medalu. Choć nie jestem kibicem żadnej z drużyn i działania kibicowskie są mi obce, to rozbawiło mnie kiedy kibice ŁKS-u odnowili jeden z moich zniszczonych napisów, czyli „Limanka żyje dobrą sztuką:...

Skoro przy przeinaczeniach i nadinterpretacjach jesteśmy... Pewien popularny jutuber, osoba duchowna, poświęcił jeden z odcinków swego programu analizie napisu Twego autorstwa. Chodzi o „zwykły akt wandalizmu...”. I oto dowiadujemy się, że napisem tym, cytuję: „usprawiedliwiasz się ze zła, które zrobiłeś pokazując, że to nie było takie złe, bo zrobiłeś to by pokazać, że pragniesz miłości”. Nie mogę sobie odpuścić tego pytania: jak się czujesz z tą analizą i takim podsumowaniem Twojej działalności?

Mam problem z tym pytaniem. Założeniem moich interwencji jest budowanie poczucia wspólnotowości, przełamanie mowy nienawiści krzyczącej do nas powszechnie z murów. W wypadku postawy osób propagujących tak szkodliwe wartości, jak



Fot. Kuba Szczapiński

wspomniany pan, mogę jedynie przytoczyć inny swój napis: „Szacunek dla inności. Pogarda dla cynizmu”. Oczywiście pragnę miłości (której w swoim życiu sporo dostałem i jestem za nią bardzo wdzięczny) oraz z pewnością popełniłem działania, które uważam za złe (czego jak sądzę nie należy usprawiedliwiać). Wpłatanie słów o miłości pomiędzy dyskryminującą narrację środowisk ultrakatolickich czy faszystowskich uważam za ponury żart.

Oddalmy się na chwilę od tematu napisów. Powiedz mi, jacy artyści kształtowali Twe poczucie estetyki?

Łatwiej będzie mi podać inspiracje malarstwem, niż street artem. Banalnym byłoby odpowiedzieć, że podobają mi się realizacje Banksy’ego... Bardzo cenię malarstwo ekspresyjne: Baselitza, Kiefera, ale również Jacka Sienickiego czy Chaima Soutine. U Kiefera na przykład urzeka mnie fascynacja materią, przemijaniem. W jego obrazach powraca też motyw zderzenia się z trudną wojenną historią: resztki ceglanych budynków, rozpad, ruiny.

A propos ruin: rzuca się w oczy, że Twoje realizacje pojawiają się jedynie na pustostanach, powierzchniach brudnych, poniszczonych, rozsypujących się, nigdy zaś w miejscach nowo wyremontowanych, estetycznych. Chciałem Cię zapytać o Twój kodeks etyczny, o zasady, w granicach których się poruszasz przystępując do swych działań.

Po pierwsze wynika to z patriotyzmu lokalnego i niechęci do niszczenia cudzej pracy i własności. Poza tym interesują mnie miejsca dotknięte zębem czasu a malowanie po świeżo odnowionej kamienicy byłoby kompletnym wandalizmem i nigdy bym się na coś takiego nie zdecydował. Poza tym takie umierające miejsca,

o których wspomniałeś budują kontekst dla moich działań. Słowo „kontekst” powraca do nas jak bumerang, ale jest tu kluczowe. Te napisy mają taką, a nie inną formę, ponieważ chciałem się wpisać w to co już jest. Zamiarem moim jest zmienić nieco treść, pozostawiając jednak zastaną formę. Dlatego porzuciłem w swojej działalności używanie szablonów. Nie wpisywały się one w moją ideę na tyle, na ile chciałem.

Tutaj docieramy do pytania kluczowego, które w tej publikacji przewija się kilkakrotnie. I dotyczy ono nie tylko napisów na murach, ale street artu w ogóle. A zatem, jakie rzeczy tej dać imię: sztuka to czy wandalizm?

Uważam, że jedno nie wyklucza drugiego. Oczywiście pytaniem zasadniczym jest co współcześnie uznamy za sztukę? Obawiam się, że to pojęcie się zdezwuowało. Sztuką może być wszystko, co uznają za nią instytucje i dostojnicy świata sztuki. A street art jest tutaj tak wolny, jak to tylko możliwe. Każdy może być jego krytykiem. Nadawać mu wartość, bądź uznać za coś szkodliwego i niewłaściwego. Nie ma tutaj instytucji, która mówi co i kto jest ważny.

Idąc tym tropem należy zadać pytanie, które uchodzi za kontrowersyjne, więc może tym bardziej warto je tutaj postawić. Przy całej świadomości, że poruszamy się pośród umowności i nieostrości pojęć dotyczących sztuki oraz prób jej definiowania pytam: czy myślisz, że artystom wolno więcej?

Nie wiem, czy artystom wolno więcej. Nawet nie wiem, czy artystą się jest czy raczej się bywa. Pojęcia sztuki i artysty tak bardzo się rozmyły. Może wyznacznikiem jest cel naszego działania?



Fot. Kuba Szczapiński

Mój wandalizm jest wieloznacznym komunikatem, ubranym w celowo wybraną formę estetyczną. Ja uważam go za sztukę. Moje napisy pojawiają się na ruinach, wcześniej pomazanych ścianach, budynkach do rozbiórki. Chcę, aby nie przynosiły szkody mojej społeczności oraz inspirującej mnie przestrzeni, w której działam. Czy artystom wolno więcej? Mam dużo wątpliwości. Odwołam się tu do bardzo radykalnych form artystycznego wyrazu, jakimi były działania akcjonistów wiedeńskich. Pod względem estetycznym są one dla mnie fascynujące. Z drugiej strony, jako weganin i człowiek darzący zwierzęta miłością, nie wyobrażam sobie, by dla jakiegokolwiek działania artystycznego skrzywdzić, bądź też zabić zwierzę. Podsumowując: artystom wolno prowokować do myślenia, szokować. Czasem wywołanie szoku u odbiorcy jest potrzebne, ale wydaje mi się, że są granice etyczne, których nie wolno przekraczać. Tą granicą jest dobro innej jednostki.

Wolność jednostki kończy się tam, gdzie zaczyna się niewola drugiej. Taki piękny truizm, o którego mądrości jednak często zapominamy.

Tak, to prawda. Oczywiście można tutaj zapytać, czy nie zmuszam odbiorcy do przeczytania napisów, które pozostawiam w przestrzeni publicznej. Myślę jednak, że to jest komunikacja, język. Wygłaszamy swoje tezy, rozmawiamy, spieramy się, dyskutujemy. Uważam, że do tego jak najbardziej mam prawo. Ale oczywiście bez twojej zgody nie zrobiłbym napisu nad twoim łóżkiem zmuszając cię do tego byś musiał go czytać co rano. (śmiech)

Nie tylko byłbym z takiego napisu zadowolony, ale poprosiłbym o jeszcze jeden w jadalni. (śmiech)

Twoja twórczość jest już na tyle rozpoznawalna i ceniona, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby ruchome elementy infrastruktury, na których znalazły się Twe napisy, nagle za sprawą kolekcjonerów zaczęły znikać z bałuckich ulic...

Cieszę się, że tak to postrzegasz. Myślę jednak, że żyjemy w czasach, kiedy komunikaty są bardzo krótkotrwałe. Zasypuje nas ogromna ilość informacji i obrazów, które muszą być bardzo intensywne, żeby zatrzymać odbiorcę choć na chwilę. Oczywiście chciałbym, żeby został po mnie i po moich działaniach jakiś ślad. Miło by było, gdyby ktoś pamiętał o tym, co robiłem, pomimo tak mocnych i błyskawicznych zmian, jakie teraz obserwujemy. Patrząc na sztukę, a konkretnie na to, jak kierowana jest modami oraz jak duże znaczenie mają sympatie, bądź antypatie dostojników świata sztuki, mogę stwierdzić, że rzeczywistość jest dla artysty bardzo ciężka i niewdzięczna. Z drugiej strony, jest to w jakiś sposób wyzwalające, gdy nie wpadasz w żadne komercyjne koleiny, bo ich nie masz. Myślę, że gdy robisz coś z czystej potrzeby działania i czujesz, że robisz to wbrew całej rzeczywistości, to znaczy to, że jesteś ze sobą szczery i to co robisz jest uczciwe. I musisz to robić nawet, gdy świat odbiera cię jako niegroźnego wariata. No trudno, taka cena.

A myślisz, że da się znaleźć złoty środek pomiędzy byciem prowadzonym przez te koleiny a pozostaniem wiernym sobie w swej twórczej działalności?

Myślę, że tak, choć to bardzo trudne. Odpowiem ci jak to jest na przykładzie malarstwa. Widzę, że łatwo jest wpaść w koleiny, zaablokować się w nich, kiedy zaczyna się sprzedawać obrazy. Przyjmijmy, że artysta sprzedaje obrazy z danego cyklu, więc zaczyna

powielać ten sam pomysł, który się już dawno wypalił. Z jednej strony nie ma już ochoty tego malować, ale równocześnie chce mieć za co żyć.

Wydaje mi się, że ten scenariusz dotyczy nie tylko malarzy. (śmiech)

W wypadku napisów coś takiego na szczęście jest nierealne, ponieważ kiedy przestanę mieć pomysły i ochotę na robienie ich, to po prostu przestanę je robić. One powstają tylko i wyłącznie z potrzeby serca.

Myślisz, że przyjdzie kiedyś taki moment?

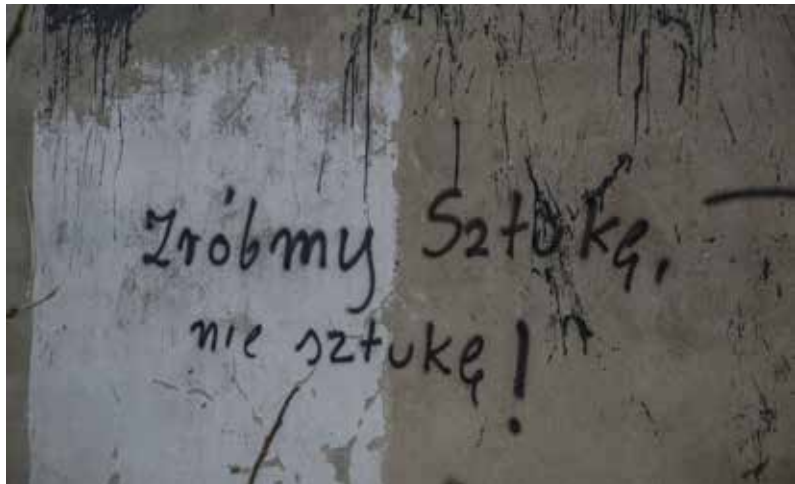
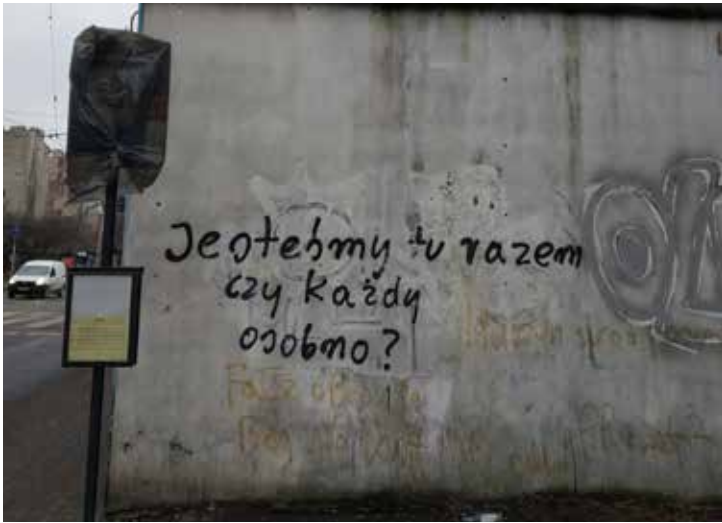
Miewam długie przerwy. Bywa, że robię po kilka napisów w ciągu miesiąca, a czasami żadnego przez kilka miesięcy, muszę wtedy poczekać, aż najdzie mnie ten impuls. Czy przyjdzie moment, kiedy całkowicie to zarzucę... Chyba wówczas, gdy nie będzie już ścian, które służyłyby mi za tło. Nie będę przecież malował po deweloperskich klockach...



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Bałuty Pany i Panie (a, d), Kuba Szczapiński (b, c)



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński





Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Kuba Szczapiński





Fot. Kuba Szczapiński

Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie (b, f), Kuba Szczapiński (a, c, d, e)



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie (a,b,c), Kuba Szczapiński (d)





Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Bałuty Pany i Panie



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Bałuty Pany i Panie

ACTA

EST

FABULA

razieca sie na oslep wderzeniami głowy koruje sobie droga

Invisible *inVisible*

*Rozmowa z Anką Leśniak – artystką intermedialną,
performerką, autorką instalacji, wykładowczynią w kate-
drze Intermediów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku.*

Fot. Natalia Żurawska / Centrum Dialogu



Anka Leśniak

KUBA SZCZAPIŃSKI: W swych pracach często dotykasz zagadnienia kobiecości i losów kobiet unurzanych w polskiej dziejowej zawierusze. Przypominasz o wielu niezwykłych postaciach, o których pamięć albo zupełnie już wygasła, albo też wiedza o nich nigdy nie przedarła się do zbiorowej świadomości. Hanna Reitsch, Fifi Zastrow, Eugenia Steinbart, Stanisława Przybyszewska... Skąd pomysł na serię prac poświęconych tym niezwykłym, silnym, ale i tragicznym postaciom? I dlaczego postanowiłaś upamiętnić je właśnie w taki sposób – poświęcając im fasady obumarłych łódzkich kamienic?

ANKA LEŚNIAK: Potrzeba przypomnienia postaci, które wymieniałeś, jest konsekwencją moich wcześniejszych projektów, w których w różnych aspektach zajmowałam się kobiecością, rolą i postrzeganiem kobiet społeczeństwie, kulturze oraz sztuce. Dziś już nie trzeba udowadniać, że historia ma pamięć wybiórczą i jest pisana przez grupy uprzywilejowane. Przez wiele wieków taką grupą byli mężczyźni. Oczywiście nie wszyscy w jednakowym stopniu, znaczenie miał też kolor skóry i pozycja społeczna. Miejsce i rola kobiety w takim układzie społecznym są dość wąsko zdefiniowane i nie dają jej wiele miejsca na realizację własnych ambicji i talentów. Dlatego też jeżeli postawa kobiety odbiega od oczekiwanych od nich zachowań czy też zaprzecza uprzedzeniom wobec kobiecej płci, historia łatwo o takich kobietach

zapomina. Albo wyróżnia bardzo nieliczne, jak np. Marię Curie-Skłodowską, paradoksalnie i fałszywie sugerując, że kobiety, które czegoś wielkiego dokonały to jakiś wyjątek i dziewczynki raczej nie powinny liczyć, że im również uda się zapisać na kartach historii nauki czy kultury. Jednak tym, co było dla mnie impulsem do realizacji serii prac nawiązujących do takich postaci jak Fifi Zastrow, Michalina Tatarkówna-Majkowska, Hanna Reitsch i jeszcze kilku innych, nie była chęć przypomnienia kolejnej zapomnianej postaci kobiecej. W tych biografiach interesowała mnie ich niejednoznaczność, dyskusyjność, trudność w ich interpretacji. Były to kobiety niejednokrotnie uwikłane w konteksty polityczno-historyczne, tak jak Tatarkówna-Majkowska w reżim komunistyczny, czy Hanna Rietsch, która pracowała jako pilotka testowa dla III Rzeszy lub Fifi Zastrow, która mając żydowskie pochodzenie grała w niemieckim teatrze propagandowym trzy przecznice od łódzkiego getta... Ponieważ nie są to postaci z nie pozostawiającą wątpliwości, „godną naśladowania” biografią, ulegają podwójnemu wykluczeniu. Ze względu na płeć i „rysy” na życiorysie. Jednocześnie nie były to osoby aż tak istotne dla budowania narracji historycznej, czy np. tożsamości narodowej, aby przemilczeć wątpliwości i czyny nie licujące ze spójnym obrazem danej bohaterki, jak to się dzieje w przypadku wielu męskich postaci. Dla mnie więc ta zapomniana, wymazana, czy niechciana biografia jest jak opuszczony budynek. Może

nas razić, być elementem niechcianym w przestrzeni miejskiej, obrażać nasze potocznie rozumiane poczucie estetyki – bo obiekt jest brudny, zaniedbany. Po utracie swoich funkcji, opuszczeniu go przez użytkowników staje się w pewnym sensie niewidzialny. Nie zwracamy na niego uwagi. Ale może też fascynować swoją tajemniczością. Jednocześnie odrażać i przyciągać. I coś takiego jest w biografiach postaci, do których się odwołuję. Nie są to kobiety, które można by upamiętnić w tradycyjny sposób, tablicą czy pomnikiem, ale też nie o upamiętnienie osób tutaj chodzi, a o zostawienie po nich śladu, znaku w przestrzeni, w której żyły i działały. Bardziej chciałabym wywołać u tych z przechodniów, którzy są uważnymi obserwatorami, zaciekawienie, refleksję, chęć dowiedzenia się czegoś więcej, nie tylko o tych postaciach, ale też o kontekście, o czasach, w których żyły, o mechanizmach, które wtedy zachodziły w społeczeństwie i skonfrontowaniu tego ze współczesnością. Kobiety, które przywołuję, wydają mi się ważne nie z perspektywy historycznej, lecz z perspektywy współczesności, wpisują się we współczesne dyskursy takie jak tożsamość narodowa, etniczna, inność, gender, relacje władzy.

Fotografia, performance, video art... Twój artystyczny dorobek jest imponujący. Ja chciałbym jednak skupić się przede wszystkim na tym aspekcie Twojej twórczości, w którym ingerujesz w przestrzeń publiczną, na Twoim romansie ze sztuką ulicy. Co skłoniło Cię do wyjścia ze swymi realizacjami w przestrzeń publiczną i idąc dalej tym tropem – czym urzekł Cię street art jako narzędzie artystycznego wyrazu?

Przede wszystkim kierowała mną potrzeba wyjścia poza przestrzeń galeryjną, gdzie sztuka pokazywana we wnętrzach bardziej lub mniej udatnie aspirujących do ideału modernistycznego



Fot. Anka Leśniak

white cube, swoistej „świątyni sztuki”, gdzie izoluje się ją od życia codziennego. Znaczenie miał też łódzki pejzaż miejski, chociaż pierwsze swoje realizacje na opuszczonych domach zrealizowałam w innych miastach. Architektura Łodzi, która nie została zniszczona w czasie wojny, ulegała stopniowej dewastacji w czasie PRL-u, co osiągnęło swój punkt kulminacyjny po upadku reżimu komunistycznego, kiedy masowo zwolniono z pracy pracowników, a w dużej mierze pracownice przemysłu włókienniczego, gdy opustoszały fabryki, rozpadały się nieremontowane kamienice, a śródmieście poza Piotrkowską wyglądało jak po kataklizmie. I poniekąd wygląd Łodzi był żywym obrazem terapii szokowej zastosowanej wobec polskiego społeczeństwa przez adwersarzy neoliberalnej polityki. Ja nie jestem z urodzenia łódzianką, przyjechałam do Łodzi na studia z południa Polski i było dla mnie w tym mieście, w jego klimacie, coś strasznego i fascynującego jednocześnie. Na niektórych budynkach były jeszcze ślady przedwojennych napisów.

Mury budynków, które są odrapane, popisane, wywołują pokusę dodania czegoś od siebie. Stąd pewnie gdzieś w podświadomości powstała u mnie potrzeba pracy z opuszczonymi budynkami. Taki budynek jest w stanie przejściowym, w „międzyczasie”, w stanie zawieszenia – może zostać wyremontowany i przystosowany do nowych funkcji lub zburzony – zniknie. Dla mnie stał się miejscem ekspozycji sztuki, sam stał się sztuką. Swoje realizacje nazywam instalacjami. To termin, który ma już swoją tradycję w sztuce i odnosi się do pracy artystek/artystów z przestrzenią zastaną, z kontekstem miejsca. Opuszczony budynek, dom jest dla mnie rodzajem książki, z której wypadły niektóre kartki, ale też rodzajem palimpsestu, na który nanoszę kolejną warstwę. W ten sposób dokonuję też symbolicznej rewitalizacji miejsca.



Fot. Anka Leśniak

Coś się w nim zmienia, na chwilę odzyskuje widzialność, prowokuje do dyskusji.

I oczywiście fascynuje mnie też skala. To są jednak monumentalne realizacje.

W sztukę uliczną niejako z definicji wpisana jest pewna ulotność, nietrwałość, tymczasowość. Graffiti niszczeje, bywa zamalowywane, transformuje, znika wraz z wyburzanymi budynkami. Podobnie rzecz ma się z instalacjami lokowanymi w przestrzeni publicznej. Czy tę efemeryczność uważasz za cechę kuszącą i romantyczną, czy raczej postrzegasz ją jako wadę tego medium?

Trwałe i efemeryczne to pojęcia względne. W historii ludzkości już nieraz upadały pomniki pomyślane jako postawione na wieki. Kataklizmy, wojny czy zwykłe ludzkie niedopatrzienia niszczyły zabytki, jak choćby pożar katedry Notre-Dame dwa lata temu...

Projektuję też swoje ingerencje w przestrzeń budynku tak, aby zrobić mu jak najmniej krzywdy pod względem materialnym. Dlatego używam elementów, które można zdemontować lub ściągam brudną warstwę tynku, odsłaniając powierzchnie przykryte dotychczas kurzem. Lubię też moment, kiedy moja ingerencja zestraja się z budynkiem, jakby stopniowo zanika. Ta performatywność jest dla mnie ciekawa. Pomniki też z czasem pokrywają się patyną czy brudem, ale jest to efekt raczej niepożądany, ja go wpisuję w specyfikę swojej pracy.

Ale projekt nie kończy się tylko na instalacjach na budynkach, pozostają po nich fotografie, a więc moje prace dalej żyją poprzez

swoje „emanacje” w internecie czy na moich wystawach.

Zdaję sobie sprawę, że poruszamy się pośród umowności i nieostrości pojęć dotyczących współczesnej sztuki i że definicje dotyczące jej przejawów dezaktualizują się w niezwykłym tempie. Mimo tego pozwolę sobie zadać Ci nieodzowne pytanie: jakie rzeczy tej dać imię – sztuka to czy wandalizm? I pytanie to dotyczy nie tylko „dzikiej typografii”, której poświęcona jest moja praca, ale street artu w szerokim znaczeniu.

Zarzuty, że „to nie jest sztuka” formułowane są nie tylko wobec street artu, ale sztuki współczesnej w ogóle. Jeżeli chodzi o mój pogląd na to, czy coś jest sztuką, czy nie, to zależy od tego, czy ktoś wykonał jakieś działanie z taką intencją. Jeżeli ktoś traktuje swoje graffiti jako kreację, pracę twórczą i uważa się za artystę/artystkę, to trzeba moim zdaniem takie działanie rozpatrywać w kategorii sztuki, niezależnie od tego, czy uważamy, że to sztuka „dobra” czy „zła”. Jeżeli ktoś bazgrze po murach bez sensu, bez nadania formy temu co pisze/maluje, albo w celu znieważenia kogoś, to wtedy jest to wandalizm.

Fragment ulicy Drukarskiej począwszy od jej skrzyżowania z ulicą Limanowskiego, to zagłębienie bałuckiego street artu. Miejsce urodzajne w pracy spod znaku Gu Tanga, Kacpra Zaorskiego, Janusza III Wazy oraz kilku innych anonimowych twórców. Co sprawiło, że wybrałaś akurat tę lokalizację by zrealizować tam projekt „Eugenia żeni się”?

Bałuty to dzielnica Eugenii, dlatego wybrałam kamienicę na Bałutach. Jeżeli chodzi o ulicę Drukarską, to zdecydowałam się na realizację w tej przestrzeni, ponieważ budynek, na którym

powstała instalacja Eugenia żeni się wyróżnia się z otoczenia, jest intrygujący architektonicznie na tle ulicy. Szczególnie ślepe nisze i zamurowane okna, w których wykonałam napisy. Ale też spodobał mi się klimat ulicy położonej trochę na uboczu.

Ile czasu zajęły Ci realizacje poszczególnych projektów powstałych w ramach projektu Invisible inVisible?

Trzy instalacje w Łodzi wykonałam na przestrzeni kilku miesięcy. Ale praca nad koncepcją projektu zajęła mi około roku. Musiałam znaleźć swoje protagonistki, wybrać miejsca, zrobić projekty instalacji i jeszcze zorganizować montaż. Instalacja przywołująca Eugenię powstała w sierpniu 2015 r., ta dotycząca Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej w październiku i Fifi Zastrow w listopadzie tego samego roku. To dość skomplikowane przedsięwzięcie było możliwe dzięki stypendium dla twórców i animatorów kultury Prezydent Miasta Łodzi oraz dzięki Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, które stanowiło dla mnie wsparcie instytucjonalne, nie tylko w realizacji samych instalacji, ale też w organizacji wydarzeń towarzyszących.

Z jakim odbiorem wśród mieszkańców naszego miasta spotkały się Twe prace z 2015 roku? Mam poczucie, że dotykane tematu „herstorii” od kilku lat spotyka się z dużym niezrozumieniem, a wręcz wrogością niektórych środowisk. Podziały się umocniły, poglądy zradykały, język w debacie publicznej niezwykle się wystrzył. Poruszanie tematów, które jeszcze jakiś czas temu wydawałyby się neutralne dzisiaj staje się polityczna deklaracją. Czy docierały do Ciebie komentarze dotyczące „Eugenii”, „Fifi” lub „Michaliny”?

W 2015 roku żyliśmy jeszcze w innej rzeczywistości. Również nie była ona szczególnie przyjazna np. dla osób LGBT+, a feminizm raczej nie był sztandarową postawą polskich kobiet. Wtedy też zdarzały się akty cenzury sztuki. Jednak władza utrzymywała status quo, nie prześladowała kobiet, nie dawała przyzwolenia na szykany wobec osób nieheteronormatywnych. Ale z drugiej strony niewiele robiono w kwestii edukacji społeczeństwa, nie zrobiono kroku naprzód w kierunku praw reprodukcyjnych kobiet, nie zalegalizowano związków par homoseksualnych, historii nadal uczono jak zbioru faktów i dat, które uczniowie mają przyswoić bez większego zrozumienia.

Obecnie to status quo zostało poważnie naruszone, dlatego postawy się radykalizują. Już coraz mniej miejsca zostaje na stwierdzenie „mnie polityka nie dotyczy”, „nie interesuje mnie co robi władza”, bo prywatne staje się coraz bardziej polityczne.

Odpowiadając na pytanie o reakcje na moje prace w 2015 roku, to były one raczej pozytywne. A może te negatywne do mnie nie docierały. Bardzo ciepło wspominam właśnie pracę przy instalacji przy ul. Drukarskiej. Ponieważ miałam wtedy dwóch pomocników, którzy instalowali sztuczne kwiaty na dachu budynku, mogłam zostać na dole i odpowiadać na pytania przechodniów, co tu się właściwie dzieje. Jeden pan, kiedy mu opowiedziałam historię Eugenii, po chwili namysłu zapytał – „A to jest takie gender, co?” Po czym dodał uśmiechając się ukradkiem – „Tylko mi tu nie robić żadnego gender.” – i poczęstował mnie świeżym chlebem, który niósł z piekarni. Przewinęła się też grupka młodzieży, raczej milcząca, w której imieniu zadawał pytania człowiek o charyzmie lidera. Ale też nie było tu agresji. Na wernisaż przyszli mieszkańcy i nawet włączyli się do

czytania ballady o Eugenii. To był jeden z momentów mojej największej satysfakcji związanej z robieniem sztuki. Jak mówi Józef Robakowski, sztuka to energia i tam dało się tę energię płynącą ze sztuki przez krótki moment odczuć. Była też pani, która stwierdziła, że do tych białych kwiatków i złotych liter tylko katafalku jeszcze brakuje. Oczywiście to była wypowiedź krytyczna, ale paradoksalnie wyczuła i opisała atmosferę tej instalacji, skrywania czegoś ponurego, mrocznego za przystrojoną fasadą.

Dostawałam też maile od osób, które zaintrygowane ingerencjami, które pojawiły się na budynkach, poszukiwały więcej informacji w internecie i docierały do strony invisiblewomen.info.

Z dzisiejszej perspektywy mogę powiedzieć, że kiedy realizowałam instalację Michalina zuch dziewczyna, Michalina Tatarkówna-Majkowska miała swoją ulicę na Widzewie. W wyniku ustawy „dekomunizacyjnej” zmieniono nazwę ulicy. Oczywiście nadanie ulicy imienia Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej nie obyło się bez sporów między radnymi z PiS-u i z SLD, ale nazwę udało się nadać i wydawało się, że już tak zostanie. Tym bardziej, że Tatarkówna-Majkowska raczej nie była żadnym graczem na politycznej scenie, przed wojną wykazała się aktywnością w walce o prawa robotnic i robotników, miała zdolności menadżerskie, pewność siebie, co zostało dostrzeżone przez kierownictwo Partii i powierzono jest stanowisko „szefowej” województwa, a potem miasta Łodzi.

„Mury mają głos” to praca poświęcona głównie „dzikiej typografii” zdobiącej bałuckie mury. Zapewne znane są Ci prace wspomnianych już wcześniej Kacpra Zaorskiego albo Janusza III Wazy. Oczywiście styl obu Panów jest odmienny, ale

znajduje się w ich realizacjach cechy wspólne, jak choćby błyskotliwe poczucie humoru. Jak się ustosunkowujesz do takiej formy przelewania swych myśli na mury budynków?

Uważam, że takie komunikaty są potrzebne, zwłaszcza w natłoku typografii wołającej do nas z reklam, żeby kupić to czy tamto. Uważam, że powinno być znacznie więcej tekstów, poezji wizualnej na murach, która otwiera wyobraźnię przechodniów, skłania choćby do krótkiej refleksji, wytrąca z pragmatycznego i rutynowego podejścia do życia i otaczającej rzeczywistości. Również trzeci głos w dialogach ściennych między fanami łódzkich klubów piłkarskich wprowadza do nich nowy element – zamieszania, zaskoczenia i swoistej finezji.

Niemym bohaterem mojej pracy są bałuckie mury, kamienice, zaułki, czyli tło dla działań twórców „dzikiego typo”. Nie da się nie zauważyć szczególnego, turpistycznego kolorytu Bałut. Z jednej strony można mieć poczucie, że czas się tutaj zatrzymał, na każdym kroku widać tu nędzę i rozpad. Wciąż unosi się nad tym miejscem widmo getta i dramatu dziesiątek tysięcy ludzi. Z drugiej strony uwidaczniają się tu coraz większe kontrasty. Zrujnowane domy bez kanalizacji sąsiadują z deweloperskimi klockami. Obok gnijących, rozpadających się komórek stają błyszczące limuzyny. W ciszy odchodzi stary świat. Jest w tym wszystkim jakaś metafizyka. A jak Ty postrzegasz Bałuty?

To dość rozległa dzielnica, z różnorodnym miejskim krajobrazem. Szlak, który ja wydeptywałam przez kilka lat, to ulica Franciszkańska, gdzie mieści się jeden z budynków łódzkiej ASP – w odległości ok 15-20 min. od przystanku przy ulicy Wojska Polskiego. Nie wiem jak jest teraz, ale wtedy na tym odcinku

nie było żadnego środka komunikacji publicznej. Wszystko tam było szare, za wyjątkiem budynku ASP, który szczęśliwie ktoś postanowił pomalować na czerwono.

Nie ma co się oszukiwać, atmosfera była dość przygnębiająca, odczuwałam to nawet nie znając jeszcze historii łódzkiego getta. Ale niektóre uliczki, takie jak Drukarska czy Rybna, mają coś z przedwojennego klimatu, są w pewien sposób filmowe. Lubię też Park Staromiejski na granicy Śródmieścia i Bałut. Niemniej jednak można tam wyczuć jakąś pustkę po świetle, który zniknął.

Odnosząc się z kolei do zjawiska, o którym mówisz, czyli sztampowej deweloperki ignorującej charakter miejsca (tak jak kiedyś budowa bloków z wielkiej płyty), stawianej obok rozpadających się kamienic, to oczywiście możliwy jest scenariusz gentryfikacji i wysiedlenia „starych” mieszkańców. Ale też jest całkiem możliwe, że te dwa światy będą obok siebie egzystować, a przepaść między nimi będzie się pogłębiać. Przełom polityczno-gospodarczy lat 90. przeorał tkankę społeczną, zwłaszcza tych miast, których egzystencja opierała się na przemyśle. Tysiące ludzi nagle straciło pracę, wielu z nich nie odnalazło się w nowej rzeczywistości, gdzie pieniądze i dobra materialne stały się wartością nadrzędną. Ci, którzy odnieśli sukces finansowy pogardzali tymi, którym się nie udało i wzajemnie. Dopiero kiedy weszliśmy do Unii Europejskiej na szerszą skalę zaczęły być finansowane przedsięwzięcia kulturalne, które aktywizują lokalne społeczności. Rewitalizacja dzielnicy nie powinna więc polegać na stawianiu deweloperskich klocków i wypychaniu dawnej zabudowy, ani na wstawieniu w obszary dotknięte biedą ekskluzywnego centrum handlowo-kulturalnego, tylko na budowaniu, rekonstruowaniu więzi społecznych i emocjonalnego związku ludzi ze swoim otoczeniem.

Czy zamierzasz w przyszłości wrócić z kolejnymi swymi realizacjami na łódzkie/bałuckie mury?

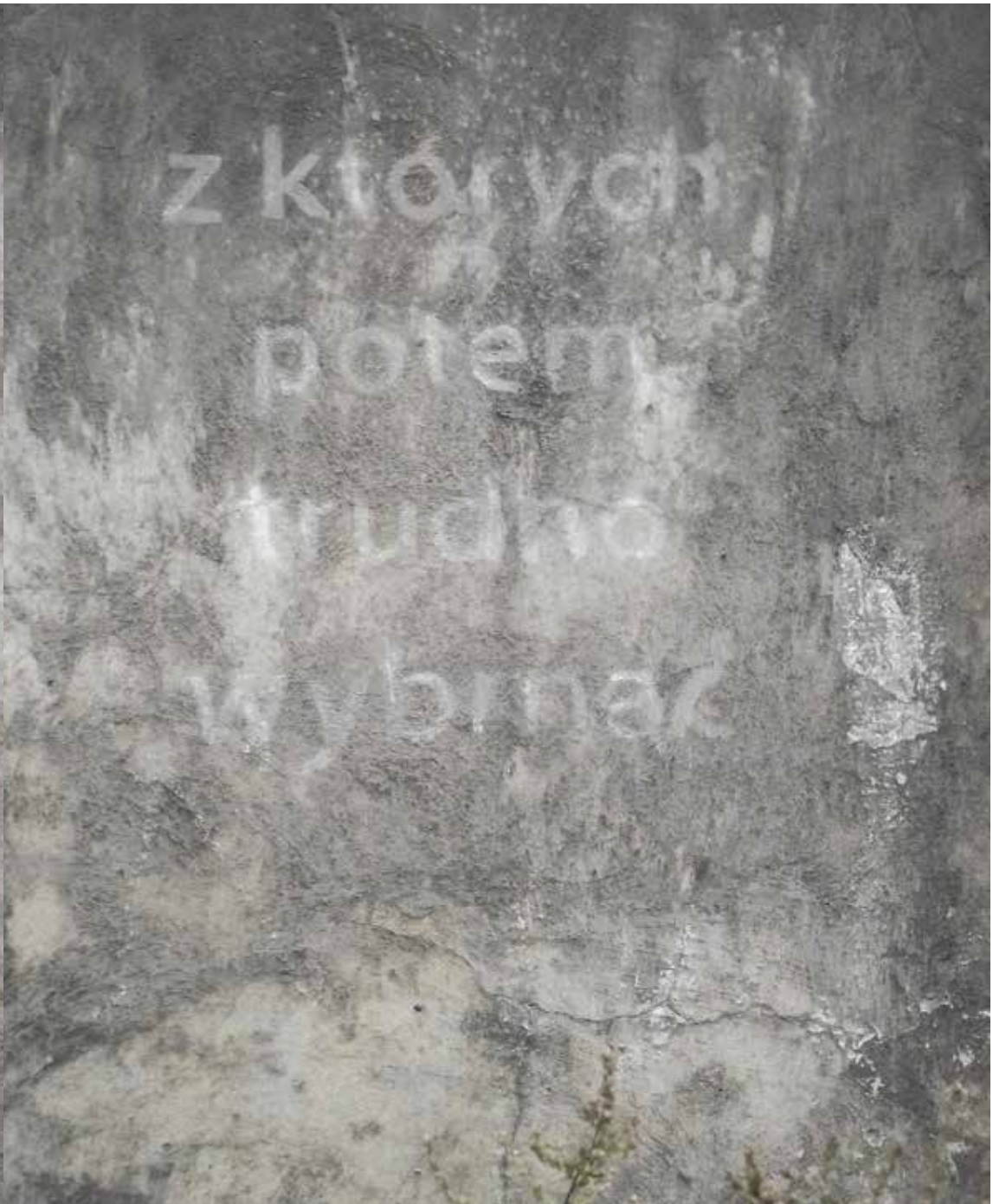
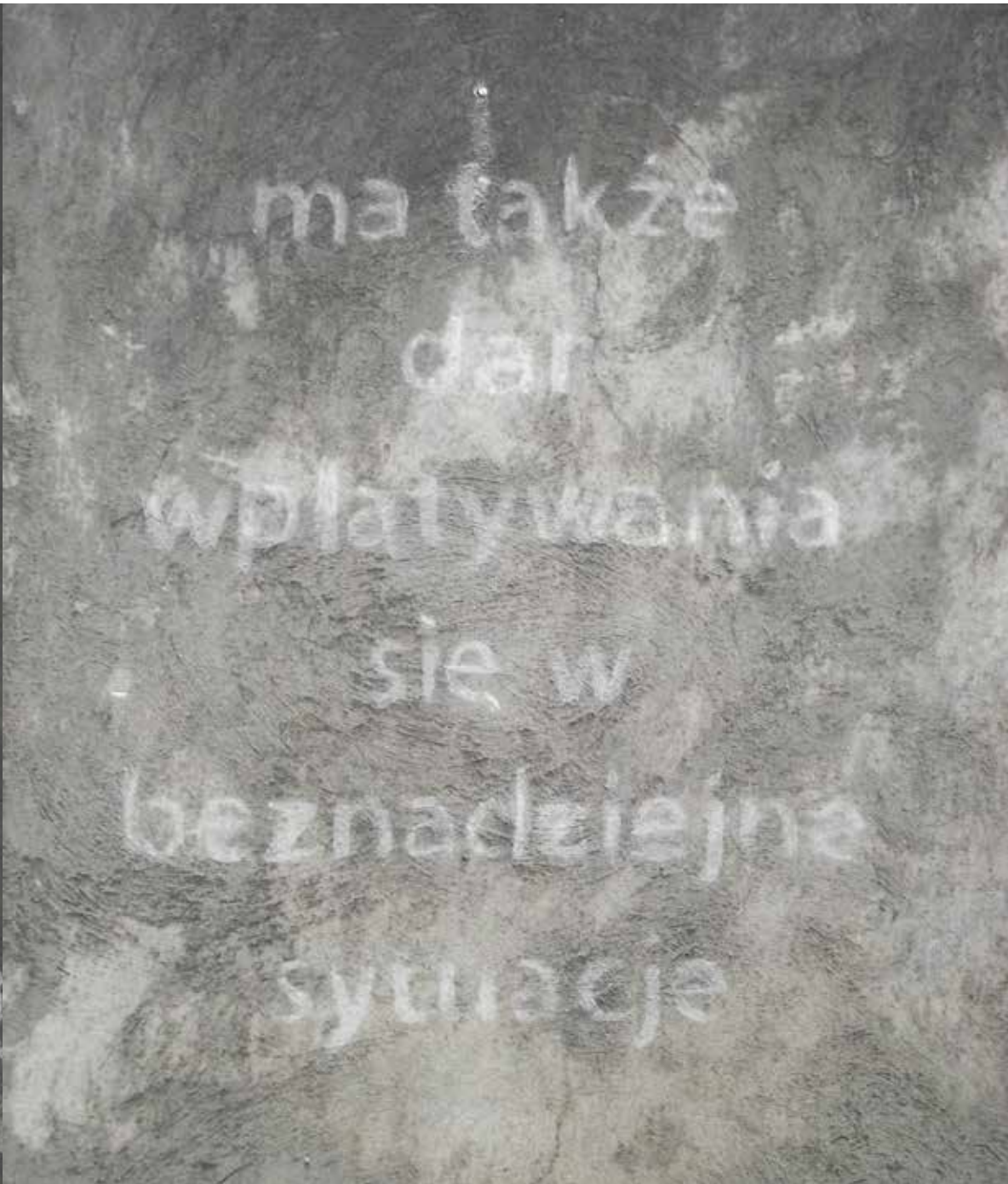
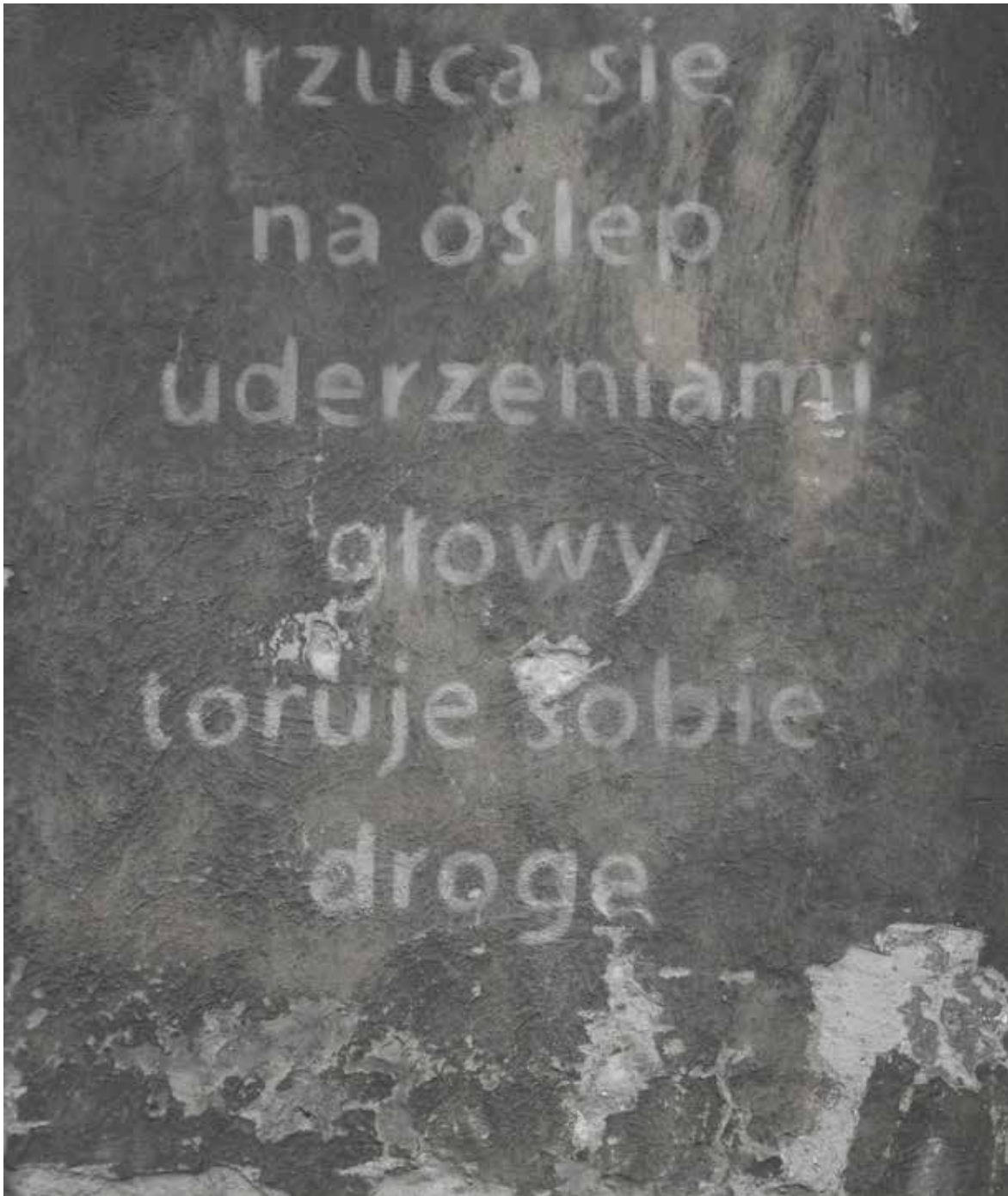
W ostatnich latach zajmowałam się innymi projektami, ale gdyby się taka sposobność pojawiła, chętnie zrealizowałabym kolejną pracę w łódzkiej przestrzeni miasta.



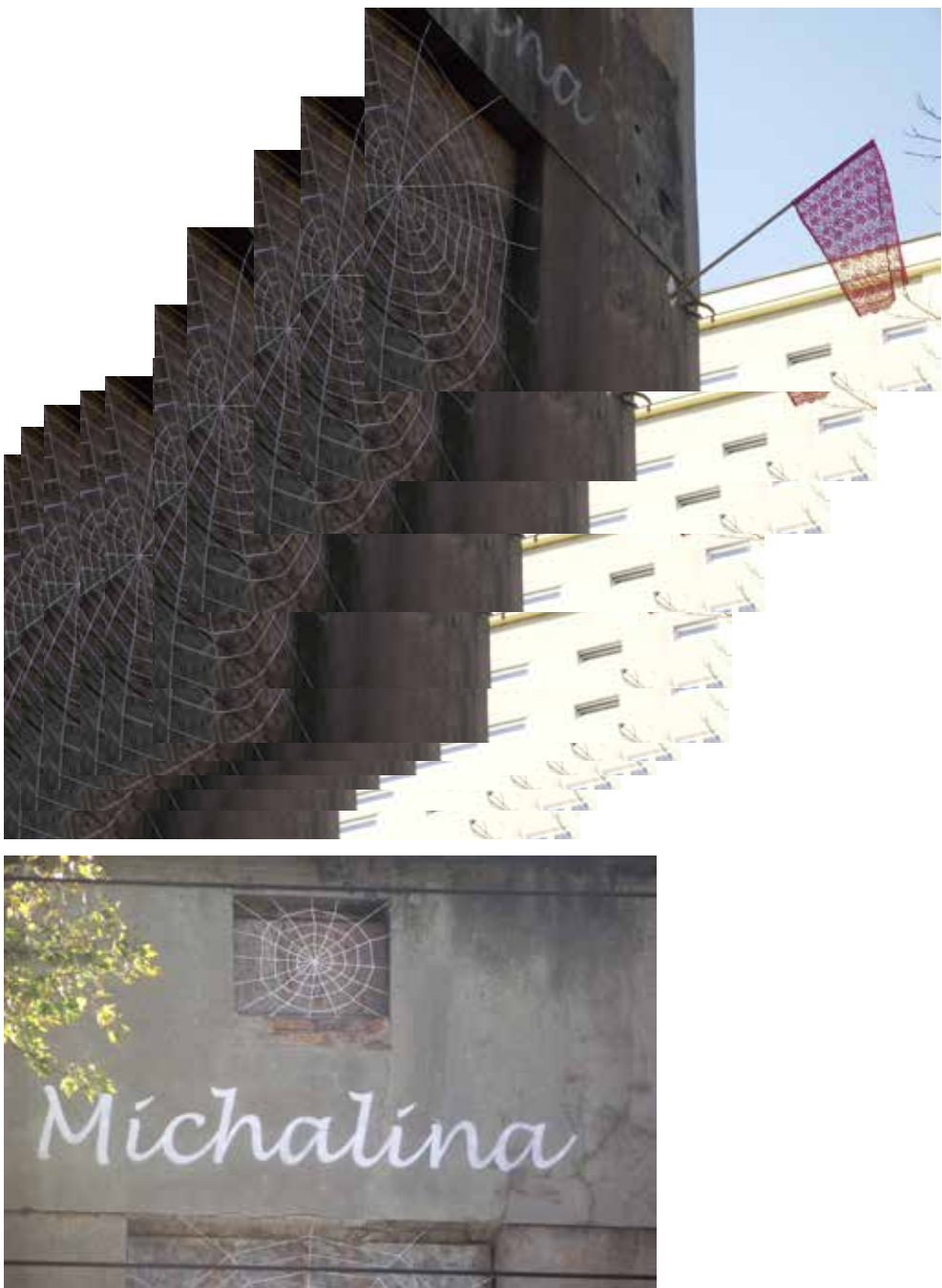
Fot. Anka Leśniak



Fot. Anka Leśniak



Fot. Anka Leśniak



Fot. Anka Leśniak





Fot. Anka Leśniak



Guccio to Jukka

Pieski świat

STRAKLAN

Rozmowa z Gustawem – człowiekiem-psem rasy „graphic collie”, którego prace opatrzone motywem charakterystycznego czworonoga od lat pojawiają się na łódzkich murach.



GU-TANG

138 KUBA SZCZAPIŃSKI: Choć ta publikacja skupia się głównie na „dzikim typo” i to o nim przede wszystkim chciałbym z Tobą porozmawiać, nie wyobrażam sobie, bym nie zadał Ci kilku pytań o Twoją twórczość, która jednak dotyka zupełnie innych rejonów sztuki ulicznej. Jesteś niewątpliwie najbardziej rozpoznawalnym twórcą łódzkiego street artu. Twe projekty od lat zdobiące mury naszego miasta urzekają nie tylko kunsztem, ale i konsekwentną zabawą wiadomym psim motywem. Czy zechcesz opowiedzieć, jak i kiedy rozpoczęła się historia Gu Tanga?

GU-TANG: Niestety, ale nie zgodzę się z Panem redaktorem. Najbardziej znaną postacią w środowisku jest Janusz III Waza. To on nosi najdroższe garnitury w tym mieście. Co do Gu-Tanga, to nie mogę powiedzieć nic więcej prócz tego, że ta przygoda zaczęła się dość przypadkowo, jakieś 6 lat temu. Nie dlatego, że nie pamiętam, ale z powodu utajnienia wszystkich dokumentów dotyczących tej sprawy. Ich odtajnienie nastąpi w 2121 roku. Wait for it!

Od lat dokumentuję Twoją twórczość i myślę, że w mych archiwach znajduje się blisko czterdzieści Twoich realizacji, począwszy od skromnego szablonu, a skończywszy na imponujących projektach wielkoformatowych. Czy jesteś w stanie określić, ile wzorów Twego autorstwa tej pory pojawiło się na murach Łodzi i innych miast?

Pojęcia nie mam, ale wierzę, że dzięki takim osobom jak Pan redaktor, powstanie kiedyś jakiś Powszechny Spis Street Artu.

Chyba jesteśmy na dobrej drodze, w każdym razie pierwsze kroki zostały już poczynione. Pozostając jednak w temacie: opowiedz proszę o technice, w jakiej tworzysz swoje prace, bo widzę, że ona również ewoluuje.

Zaczęło się od małego szablonu, ale nie jest to jedyna technika, z której korzystam. Często używam sitodruku, ale były na przykład też odbitki linorytowe. Zdarzyło mi się również korzystać z takich narzędzi jak wyrzynarka, np. podczas budowania jakichś instalacji, choć nie wiem, czy można nazwać to konkretną techniką. Oczywiście użytkowanie narzędzi odbywało się pod nadzorem wyszkolonej kadry.

To oczywiście. BHP przede wszystkim... Miałem przyjemność uczestniczyć w wernisażu wystawy Twych prac, jaka miała miejsce w łódzkim Niebostanie. Byłeś na niej obecny i wystąpiłeś z podniesioną przyłbicą. I tutaj nasuwa się pytanie, które zadają twórcom działającym w ramach street artu, którzy dokonują takiego artystycznego coming outu – co Cię skłoniło do wyjścia z cienia i ujawnienia się szerszej publiczności? Czy dokonałeś wcześniej bilansu potencjalnych zysków i strat, czy raczej był to akt spontaniczny?

Nie mam pojęcia, jak Pan mnie rozpoznał w moim przebraniu drzewa. Jeśli mam być szczery, to nie chadzam raczej na swoje wystawy, bo to nudne – przecież znam już wszystkie prace. Poza tym, myślę, że moja obecność na wystawie jest zbędna – do oglądania są obrazy, odbitki i inne prace, a nie czyjaś osoba. Chętniej pójde na wernisaż wystawy grupowej. Można wtedy podejrzeć prace innych osób, spotkać znajomych, z którymi często nie ma czasu się złapać w codziennym biegu i zamienić parę zdań.

Kilka dni temu odbyła się kolejna Twoja wystawa, tym razem w Gdyni. Powiedz, z jakim odbiorem Twoich prac i z jakimi reakcjami publiczności się spotykasz? Domyślam się, że w większości są one pozytywne, choć z drugiej strony, jak wiadomo, publika bywa chimeryczna...

Chciałbym poprawić Pana redaktora: to nie była wystawa indywidualna, lecz stworzona we współpracy z moim kolegą Tope (którego z tego miejsca serdecznie pozdrawiam). NOGAMI 2.0, bo tak się nazywała, była aktualizacją do czerwcowej wystawy, która odbyła się w Łodzi.

Niezbyt często rozmawiam z osobami trzecimi o moich pracach, ale zauważyłem, że odbiorcy często mają wymyśloną swoją historię np. do danego obrazu, co bywa dosyć zabawne, bo niekiedy jest zupełnie inna od tego, co autor miał na myśli.

Wiem, że część swoich prac tworzysz na sicie na łódzkiej ASP. Czy prócz swych „ulicznych” działań spełniasz się artystycznie również na innych frontach?

Pomidor.

Wraz z grupą przyjaciół śledzimy Twe działania i, bez kadzenia, jesteśmy ich fanami. Praktycznie każdy z nas ma jakieś ulubione prace Twego autorstwa. A która spośród nich jest Twoją faworytką?

Nie posiadam takowej, wszystkie prace prędeż czy później mi się nudzą. Zazwyczaj faworytką (przez krótki czas) jest „ta najnowsza”.

Dotknijmy teraz tematu „dzikiego typo”. Jak mniemam, w związku z Twą aktywnością, łódzkie mury i to, co się na nich dzieje, nie ma przed Tobą tajemnic. Jak zatem zapatrujesz się na taką „pisaną” formę wymiany myśli i dotarcia do odbiorcy ze swym przekazem przy pomocy farby i kawałka muru? Czy bliska jest Ci taka zwerbalizowana forma ekspresji?

Jak łatwo można zauważyć, nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko. Właściwie to jestem niepiśmienny, a owe słowa pisze skryba. Myślę, jednak, że każda forma ekspresji wynikająca z wewnętrznej potrzeby człowieka jest ważna, nawet jeśli będzie to niezbyt miły komentarz na temat włochatego pieprzyka naszej sąsiadki.

Zauważam zabawne interakcje pomiędzy Tobą a innymi twórcami, jakie rozgrywają się na łódzkich murach. Często pod Twymi pracami na murach pojawiają się komentarze, zazwyczaj pochlebne (zwykle ze strony wspomnianego Janusza III Wazy – również weterana działań „naściennych”) . Cieszy Cię taki kontakt z odbiorcą?

Myślę, że interakcja osób trzecich jest wpisana w street art. To naturalne.

Idąc za ciosem: na jednym z bałuckich murów zobaczyłem napis „Gucio to suka”. Jestem dziwnie spokojny, że to zaczepka tego samego Pana skierowana pod Twoim adresem. A dokładnie rzecz ujmując, pod adresem Twojego pupila i zarazem bohatera większości Twoich prac. Komentarz?

To pomówienia. Każdy wie, że Guccio to pies.

Wielu spośród twórców sztuki ulicznej wyznaje swoisty kodeks moralny dopuszczający umieszczanie swych realizacji jedynie w miejscach, w których nie przynoszą one szkody: na brudnych, zniszczonych murach, ścianach pustostanów etc. Zapytam więc: choć Twoje prace są niezwykle estetyczne, świetnie zaprojektowane i cieszące oko (choć oczywiście o gustach się nie dyskutuje), czy Ty w swych działaniach również poruszasz się wedle takich ściśle określonych zasad?

Staram się nie niszczyć nowych elewacji, choć ich zwyczajowe pastelowe kolory niejednokrotnie proszą się o małą dewastację. Nie umieszczam swoich prac na obiektach sakralnych, odnowionych zabytkach, pomnikach itd.

Czy podczas Twoich ulicznych działań przytrafiły Ci się jakieś sytuacje zabawne, anegdotyczne, nieoczekiwane, które szczególnie wryły Ci się w pamięć i jakimi mógłbyś się podzielić?

Kiedyś na malowaniu w centrum miasta złapał mnie dzielnicowy wraz ze swoim asystentem. Wsadzili mnie do samochodu, przejechaliśmy się kawałek, myślałem, że jedziemy na komendę... Ogólnie panowie nie byli zbyt mili. Po czym, zatrzymaliśmy się w jakiejś bocznej uliczce, a z ust wyższego stopniem następuje

monolog w stylu: „Malowałem kiedyś pociągi i zostałem złapany. Policjanci jednak mnie puścili i tylko pogrozili palcem. Gdy wstępowałem do policji postanowiłem sobie, że gdybym miał kiedyś taką sytuację to również tak postąpię. Jest pan wolny.” Miły z niego dzielnicowy.

Nie wiem czy posiadasz skalę porównawczą, ale podejrzewam, że tak, zważywszy na fakt, że Twe realizacje pojawiają się również w innych miastach. Ja w związku z ilością i jakością prac, które dostrzegam na naszych murach, uważam Łódź za niekwestionowaną stolicę „dzikiego typo”. Czy zgadzasz się z tym zdaniem?

- Coś w tym może być, aczkolwiek – jak wspomniałem wcześniej – jestem niepiśmienny, w związku z tym z czytaniem też jestem na bakier. Jedyne co widzę na ścianach, to jakieś dziwne znaczki.

Jak już wcześniej wspominałem, w publikacji skupiam się na ukazaniu przykładów „dzikiego typo”, które odnalazłem na Bałutach, które na tle naszego miasta wydają się być prawdziwym tego zjawiska zagłębiem. Z fotografii dokumentujących najciekawsze znalezione przeze mnie realizacje wizerują Bałuty biedne, zapuszczone, umierające. Turpistyczny haj. Jak Ty postrzegasz to miejsce i czy dostrzegasz ten jego specyficzny koloryt?

To miejsce, w którym spędziłem większość swojego niezbyt długiego życia. Myślę, że Bałuty tak naprawdę biedne, zapuszczone i umierające były kilkanaście lat wstecz (i wcześniej). Teraz większość przejść i skrótów znanych tylko przez lokalsów pogrodzona została przez płoty strzegące wyremontowanych bloków

i podwórek. Myślę, że Bałuty dużo straciły ze swojego kolorytu i jest to proces, który wciąż zachodzi. Jednocześnie, teoretycznie się rozwijają, ale nie jestem pewien czy stawianie kolejnych osiedli z dykty i otaczanie ich ogrodzeniem to rozwój w dobrą stronę. Może warto by się zastanowić nad ratowaniem starych kamienic, których wciąż jest tu sporo? Na Bałutach jest wiele klimatycznych miejscówek, wystarczy wypić tylko parę mocnych piwek na murku przy szkole i dać się ponieść nogom, by poczuć lokalny folklor.



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński



Fot. Kuba Szczapiński

Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Mury mają głos
(czyli rzecz o bałuckim *dzikim* typo)



Fot. Kuba Szczapiński





Fot. Kuba Szczapiński





Fot. Kuba Szczapiński





Fot. Kuba Szczapiński





Fot. Kuba Szczapiński

Tekst: Kuba Szczapiński
Korekta: Maria Nowakowska
Skład i opracowanie graficzne: Joanna Szumacher

Koordinacja projektu: Maria Nowakowska
Zdjęcie na okładce: Kuba Szczapiński



**Detal
w mieście**
Maria Nowakowska

Projekt „Oblicza lokalnego dziedzictwa – od przyrody do cywilizacji i z powrotem”
jest realizowany dzięki dofinansowaniu z budżetu Miasta Łodzi.



top top

top
BX

NEW

NEW

5

NEW

